

Hiszpańscy akademyści i poeci: Dámaso Alonso (1898-1990)



Florian Śmieja

Na mojej półce stoją przerzedzane stopniowo książki hiszpańskie. Jedną z nich jest tom wierszy “Hijos de la ira” w wydaniu argentyńskiej firmy Austral. Nosi on miłą hiszpańską dedykację wykaligrafowaną atramentem:

Dla Floriana Śmieji, dzielnego Polaka pod londyńskim niebem z żywą sympatią Dámaso Alonso, Londyn 13 stycznia 1960.

Nagle pamięć podpowiada szczegóły. Pewnego dnia w niepozornym człowieku siedzącym przy pulpicie w okrągłej sali czytelnictwa dawnego *British Museum* rozpoznałem znamienitego akademika i prezydenta Królewskiej Akademii Hiszpańskiej. Byłem pewnie na jego odczycie kilka dni wcześniej w *King's College* albo w Instytucie Hiszpańskim. Podszedłem do niego z tomikiem jego głośnych już wtedy poezji i poprosiłem o autograf.

Przelał się nieco zaskoczony faktem, że go rozpoznałem. Były to czasy, kiedy gen. Franco siedział jeszcze mocno w siodle, a wyjeżdżający za granicę Hiszpanie czuli się nadal śledzeni i zachowywali dyskretną ostrożność.

Padał deszcz i było zimno. Zaproponowałem mu, że go odprowadzę do radia BBC, na co się chętnie zgodził. Zanim mi wpisał dedykację, pedantycznie poprawił dwa błędy drukarskie książki klarując przy tym właściwości gramatyki hiszpańskiej. Zauważył też, pamiętam, że niemiecki tłumacz źle przełożył tytuł „Hijos de la ira” jako „Söhne des Zorns” zamiast „Kinder”. Słowo hiszpańskie „hijos” znaczy zarówno „synowie” jak „dzieci”. Wniosek: nigdy nie zawadzi skontaktować się z autorem.

Alonso był nie tylko słynnym profesorem literatury i znakomitym jej historykiem, ale także respektowanym poetą. Na znanej fotografii grupy poetów tzw. Pokolenia 1927, w sali Ateneum w Sewilli, obok m.in. Garcia Lorki, Rafaela Albertiego i Jorge Guillena widnieje Dámaso Alonso, a współcześni zapewniali, że bardzo się Dámaso z Federikiem lubili.

Wybrałem z „Dzieci gniewu” do tłumaczenia dwa krótkie wiersze „Bezsenna” i „De profundis” oraz długi tekst, który wraz z artykułikiem o autorze wydrukowałem pod tytułem „Kobieta z bańką na oliwę” jeszcze w 1960 roku w „Tygodniku Powszechnym”, a następnego roku „De profundis” w „Więzi”.

Dámaso Alonso z racji piastowanego urzędu i zawodowej reputacji polecał dobrze zapowiadających się młodych naukowców i twórców hiszpańskich na zagraniczne pozycje

pedagogiczne. Kiedy przeniosłem się z *London School of Economics* do *Nottingham*, do naszej katedry hiszpańskiego przyjechał na paroletni staż jego rekomendowany lektor, Claudio Rodriguez z Zamory (1934-1999). Młody, przystojny poeta był już wtedy autorem cenionych wierszy, które kazały na niego zwrócić uwagę. Jeszcze w 1966 roku wydrukowałem przekłady dwu jego tekstów w „Więzi”, a trzy dalsze w „Literaturze na Świecie” w 1975 roku, kiedy już byłem w Kanadzie. Rodriguez korzystając z pobytu w Nottingham, a potem w Cambridge poznał gruntownie i polubił poezję Dylana Thomasa. Wróciwszy do ojczyzny cieszył się wielkim uznaniem a jego poezje przyniosły mu bodaj wszystkie nagrody i wyróżnienia, jakie w jego ojczyźnie stały do dyspozycji, łącznie z fotelem Gerarda Diego w Królewskiej Akademii.

Znalazłszy się na uniwersytecie w Kanadzie spotkałem w zakładzie poetę i prozaika Jesusa Lópeza Pacheco (1930-1997), którego republikańskie przekonania i polityczne zaangażowanie wygnały na emigrację. Jego socrealistyczna proza znalazła uznanie w Moskwie, a wiersze również były na usługach anty frankistowskiego resentymentu.

Przełożyłem kilka jego zaangażowanych wierszy bacząc, by wybrać takie utwory, które miały mało klarownego adresata. Niemaló się Jesús zdumiał, gdy wybrałem wiersz anty-generalski, a przełożywszy go, wydrukowałem w Polsce. Autor nie domyślił

się, że tymczasem Polacy dorobili się również swojego niedobrego generała i że ataki jego wiersza pasowały do niego jak ulał, świadcząc bezwiednie o wielostronnej użyteczności odpowiednio zastosowanej poezji

W Londynie łatwo nawiązywaliśmy kontakty z hiszpańskimi literatami, często wykładowcami uniwersyteckimi. Przyjeżdżali oni na zaproszenie iberystów brytyjskich i dawali wykłady, czytania lub brali udział w zjazdach naukowych. Oni z kolei mówili nam o tzw *tertulias*, regularnych spotkaniach grup profesjonalistów w miastach hiszpańskich. Nas interesował głównie Madryt. Tam w kawiarni „Gijón” zbierali się literaci, zaś w „Café Lyón”, naprzeciw głównej poczty, a niedaleko Biblioteki Narodowej, profesorowie i bibliotekarze. Każdego roboczego dnia między 2 a 4 na *sjestę* spotykali się przy kawie, kieliszku wina czy koniaku na pogawędkę.

Mając takie zaproszenie w kieszeni młody uczony przyjeżdżał do stolicy Hiszpanii, zachodził do „Café Lyón” i przedstawwszy się, był gorąco witany przez grono znakomitości, które okazywały się nie tylko wybornymi kompanami do wypitki i gawędy, ale pierwszorzędnymi znawcami przedmiotu, w moim wypadku, literatury hiszpańskiego Złotego Wieku. Potrafili w mig rozstrzygnąć wiele kwestii naukowych, informując nowo przybyłego precyzyjnie o najlepszych strategiach szukania i zdobywania potrzebnych wiadomości.

Przez wiele lat takim duchem sprawczym *tertulii* profesorów był don Antonio Moñino, były dyrektor Biblioteki Narodowej, wielki erudyta i bibliofil. Kiedy poszukiwałem rzadkiej książki szesnastowiecznego conceptysty, radził mi pojechać do Segowii. Tam kilkanaście lat wcześniej w bibliotece katedralnej na piętrze, w pewnym pokoju i drugiej szafie na takiej a takiej półce widział potrzebny mi egzemplarz książki. Były to czasy przed komputerowe, biblioteki rozporządzały niekompletnymi katalogami kartkowymi, a bibliotekarze byli kapryśni, w Hiszpanii mało zdyscyplinowani i potrzebowali bodźców. Pojechałem do Segowii i znalazłem książkę dokładnie tam, gdzie ją zapamiętał don Antonio. Kiedy indziej szukałem bez powodzenia żywota pewnego Świętego wydanego w 1613 roku. Kiedy o tym opowiedziałem gronu biesiadników, nazajutrz otrzymałem egzemplarz. Przyniósł go w kieszeni don Antonio, pozwolił zabrać do hotelu, przepisać potrzebne dane (nie było wtedy ksero) i zwrócić przy okazji.

W lecie, które w Madrycie jest uciążliwe, *tertulia* profesorów przenosi się nad morze do Santander. Daje to dodatkową okazję, by ożywić znajdujący się w tym mieście uniwersytet letni, do którego przyjeżdżają studenci z całego świata. Korzystają oni ponadto ze słynnej biblioteki założonej przez legendarnego erudyte Marcelina Menéndez y Pelayo. Po dziś dzień żyje jego mit i opowiadają, jak zwykł był on z książką w ręku zasiadać na otwartym piętrze tramwaju i jeździć nim w kółko nie

molestowany przez obsługę i współpasażerów.

W takiej atmosferze poznałem dyrektora szkoły studiów arabskich w Granadzie Emilio Garcíá Gómeza, z którego tłumaczenia średniowiecznych arabskich tekstów poetyckich z Andaluzji korzystałem, przekładając na polski kilkadziesiąt poezji arabsko-andaluzyjskich. Pisemne pozwolenie przysłał mi pocztą z Bagdadu, bo wtedy już sprawował funkcję hiszpańskiego ambasadora w Iraku.

Z jego nazwiskiem kojarzy mi się zabawna historia. Kiedy raz z poetą Józefem Łobodowskim poszliśmy w Madrycie na lampkę wina do tawerny znajdującej się w pobliżu jego miejsca zamieszkania, dyskutowaliśmy zażarcie o poezji arabsko-andaluzyjskiej. Wtedy podszedł do naszego stołu *limpiabotas* czyli pucybut, a uzyskawszy nasze przyzwolenie, zabrał się do glansowania naszych butów. Nie przerywaliśmy rozmowy i raz po raz w naszej polskiej konwersacji padało nazwisko Emilio Garcíá Gómez. Wtedy czyścibut spoglądał na nas ze szczególną uwagą, a my kontynuowaliśmy nasze wywody. Jeszcze kilka razy wymieniliśmy nazwisko Gómeza, a za każdym razem nasz czyścibut podnosił na nas wzrok. W końcu odezwał się niespodziewanie:

Czego panowie chcecie od Emilia Garcii Gómeza? Ja się

nazywam Emilio García Gómez.

Swoją drogą te podwójne hiszpańskie nazwiska są utrapieniem dla cudzoziemców, w tym również Polaków. Weźmy dla przykładu choćby często w ubiegłym wieku wymieniane nazwisko poety, który po hiszpańsku znany jest jako Federico García Lorca. A jak to nazwisko brzmi w dopełniaczu? Podobnie rzecz się ma z najpłodniejszym pisarzem hiszpańskim, którym był Lope de Vega Carpio. Nasi kuratorzy gramatyki nie spieszą się z werdyktem, jak takie nazwiska odmieniać po polsku pozostawiają nam decyzję, tak że musimy sobie radzić, jak umiemy.

Wśród bibelotów zachowałem także kilka wizytówek. Jedna jest hiszpańska z trzema różnymi nazwiskami osób, które tym niemniej stanowią jedną rodzinę. Tam już trzeba pewnych objaśnień. Po pierwsze wizytówka ma czarną obwódkę, jest więc wizytówką wdowy. Obok jej wydrukowanego imienia i nazwiska wykaligrafowano dwa dodatkowe nazwiska: syna i jego ojczyma. Kartonik stał się więc wizytówką rodzinną, którą mi wręczono podczas spotkania w Londynie.

Zanim podam nazwiska, opowiem całą historię. W sekretariacie Szkoły Nauk Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich, gdzie byłem zatrudniony pół wieku temu, pracowała Lolita Raczyńska. Pewnego dnia posłała mi karteczkę. Miała dla mnie studenta

Hiszpana, który chciał się uczyć prywatnie języka polskiego przy pomocy hiszpańskiego. Ponieważ znałem hiszpański, a uczyłem polskiego, odpowiadałem zapotrzebowaniu. Kiedy przeczytałem nazwisko kandydata: księżę Adam Czartoryski, w pierwszym momencie pomyślałem, że padłem ofiarą żartu. Okazało się, że nie. Zjawił się dobrze ułożony szatyn wyglądający jak typowy sewillczyk zwący się po hiszpańsku Príncipe Adán Czartoryski. Zanim mogłem dawać mu lekcje, musiałem poznać rodziców: matkę i ojczyma. Wtedy dostałem wizytówkę z nazwiskami: Dolores de Borbón y Orleans, Carlos Chias Ossorio i P. Adán Czartoryski. Jego ojciec, Stanisław, już nie żył.

Były to czasy, kiedy gen. Franco miał się jeszcze dobrze, ale już przewidująco przysposabiał Juana Carlosa na przyszłego króla Hiszpanii. Pewnie, żeby uatrakcyjnić mojemu uczniowi niełatwy przedmiot, jakim był język polski, żartowałem, że jak jego kuzyn zostanie monarchą, to pewnie go wyśle do Warszawy jako ambasadora. I rzeczywiście kuzyn został królem.

Artykuł powiązany:

<http://www.cultureave.com/wscho-d-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/>

Emisariuszka Elżbieta Zawacka (1909 – 2009)



Elżbieta Zawacka, fot. materiały prasowe.

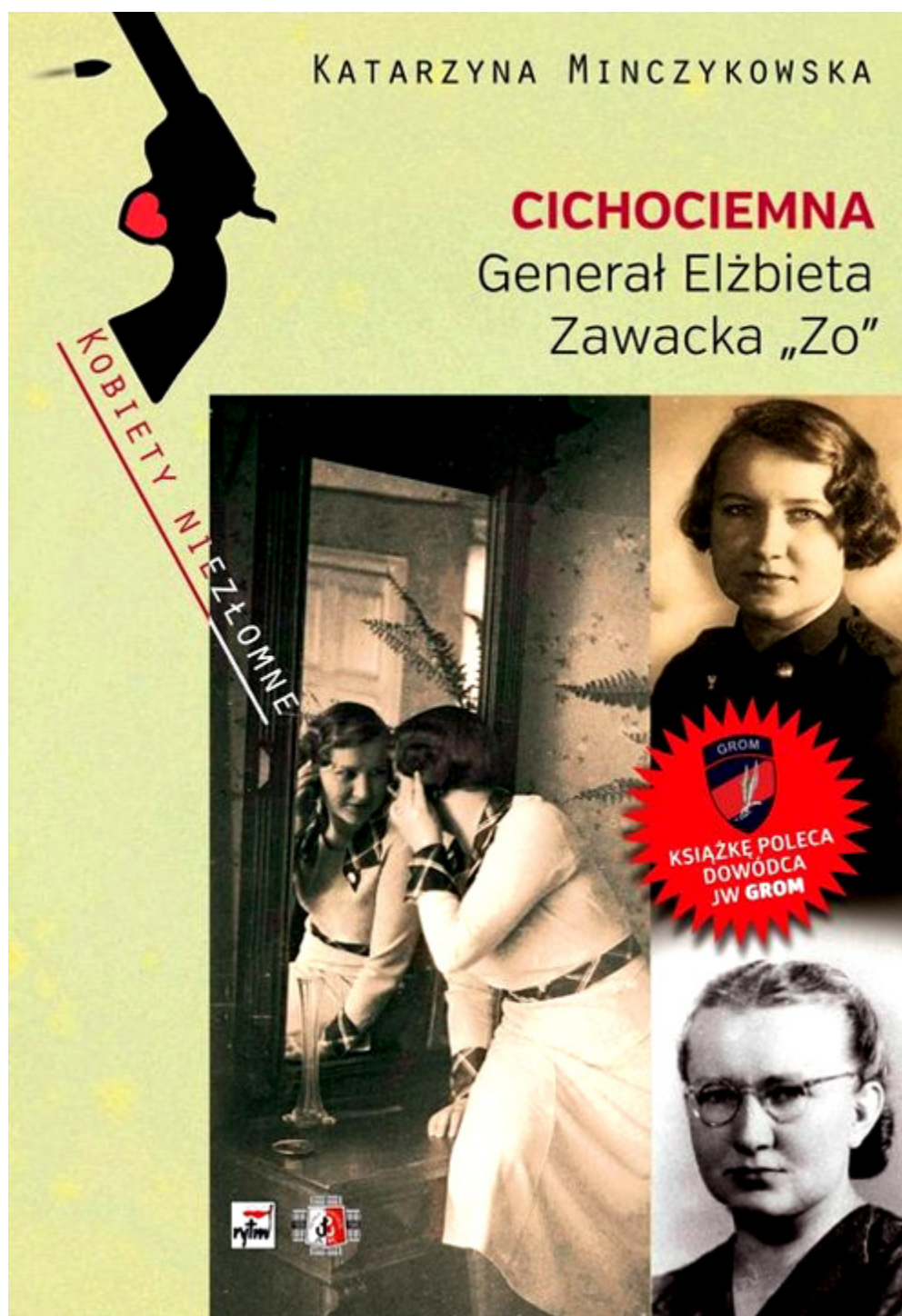
Elżbieta Zawacka to niezwykła postać. Jedyna kobieta wśród cichociemnych, druga w historii Wojska Polskiego kobieta generał, kurier i emisariuszka Armii Krajowej, uczestniczka Powstania Warszawskiego, a do tego matematyk i profesor nauk humanistycznych specjalizującą się w historii najnowszej.

Jan Nowak-Jeziorański napisał o niej w „Kurierze z Warszawy”:

Nawet w konspiracji, gdzie panuje anonimowość, „Zo” stała się postacią legendarną. (...) straciła rodzinę. Uchodziła za człowieka ostrego i wymagającego od innych, ale najbardziej od samej siebie. Jej oddanie służbie graniczyło z fanatyzmem. (...) Średniego wzrostu, blondynka o niebieskich oczach miała w sobie coś męskiego. Była surowa, poważna, trochę szorstka i bardzo rzeczowa. W czasie rozmowy ani razu nie uśmiechnęła się, nie padło ani jedno słowo natury bardziej osobistej, nic co nie wiązało się ze służbowym tematem. „Zo” nie miała na to czasu. Dopiero na pożegnanie poczułem ciepły, mocny uścisk dłoni i usłyszałem lekkie westchnienie: Daj Boże, żebyście dotarli.

W 2014 roku w wydawnictwie Rytm ukazała się książka Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna Generał Elżbieta Zawacka Zo„. Od tej pory autorka opowiada o tej niezwykłej postaci. 17 kwietnia 2018 r. w Polskiej

Akademii Nauk w Wiedniu miał miejsce wykład dr Katarzyny Minczykowskiej oraz wystawa poświęcona Elżbiecie Zawackiej.



Elżbieta Zawacka urodziła się 19 marca 1909 r. w Toruniu, zmarła 10 stycznia 2009 r. tamże. Przyszła na świat w czasie, gdy Toruń znajdował się pod zaborem pruskim, jednak szkołę podstawową i gimnazjum kończyła już w wolnej Polsce. Maturę zdała w Żeńskim Gimnazjum Humanistycznym, a następnie skończyła studia matematyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Po studiach podjęła pracę jako nauczycielka w szkole średniej i udzielała się społecznie jako instruktor Przysposobienia Wojskowego Kobiet (PWK).

We wrześniu 1939 r. była żołnierzem Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Wojskowej, walczącym w obronie Lwowa. Pod koniec 1940 roku przeniesiono ją do Warszawy – dostała przydział do Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej Armii Krajowej *Zagroda*. Od połowy 1941 r. jeździła między Warszawą a Berlinem, przewożąc w obie strony pocztę, która kursowała przez Szwecję do Londynu i z powrotem. Jej zadaniem było też zorganizowanie szlaków kurierów podążających do Londynu przez Niemcy. W latach 1939–1945, korzystając z fałszywych dokumentów, przekraczała granicę Rzeszy setki razy (przy setnym, w 1942, przestała liczyć), przenosząc raporty, meldunki i informacje, zaś w przerwach między wyprawami uczyła i była uczona na tajnych kompletach. Używała pseudonimów „Zelma”, „Sulica”, „Zo”.

W lutym 1943 roku wyruszyła jako emisariuszka Komendanta

Głównego AK Stefana Roweckiego przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Jej misja miała dwa cele: poprawę łączności między Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie a KG AK w Warszawie oraz przedstawienie żądań gen. Roweckiego na temat regulacji prawnych dotyczących sytuacji kobiet w Wojsku Polskim. Z Londynu powróciła 9/10 września 1943 zrzucona ze spadochronem w ramach akcji „Neon 4” na placówkę „Solnica” pomiędzy zabudowaniami majątku we wsi Osowiec a folwarkiem we wsi Chawłowo (zrzut przyjęty we wsi Wólka Brzozokalska obecnie Adamów Wieś, koło Grodziska Mazowieckiego w zabudowaniach Jana Siwca. Dowódca kpt. naw. Stanisław Król Ekipa XXIX wraz z por. Bolesławem Polończykiem „Kryształ” i ppor. Fryderykiem Serafińskim „Drabina”).



Elżbieta Zawacka, fot. z książki Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka Zo”.

W marcu 1944, gdy Zo groziło aresztowanie, wycofano ją z działalności kurierskiej i przeniesiono do służby w dowództwie Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Działając w WSK, brała udział w Powstaniu Warszawskim, a po kapitulacji przedostała się do Krakowa, gdzie odbudowywała zerwaną łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza. Zdemobilizowana w lutym 1945 r. dalej pracowała w konspiracji: najpierw w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, następnie w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Z działalności antykomunistycznej zrezygnowała w 1946 r., podejmując pracę w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego przy Ministerstwie Obrony Narodowej, z której – ze względów politycznych –

musiała zrezygnować w 1948 r.

W latach 1948-1951 pracowała jako nauczycielka w Łodzi, Toruniu i Olsztynie. 5 września 1951 została aresztowana przez MBP (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) i po procesie skazana na 10 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszła 24 lutego 1955.

W 2005 r. powstał film dokumentalny o Elżbiecie Zawackiej pt. „Miałam szczęśliwe życie” według scenariusza i w reżyserii Marka Widarskiego.

Wróciła do pracy w szkolnictwie, ucząc w szkołach w Sierpcu i Toruniu. W 1965 r. na UMK w Toruniu obroniła doktorat (promotor: prof. Ludwik Bandura) i podjęła pracę na stanowisku adiunkta Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku (od 1972 r. Uniwersytet Gdański). W 1973 r. w Wykowie (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny) uzyskała tytuł doktora habilitowanego. Nie mając szans na utworzenie własnego zakładu andragogiki w Gdańsku (o czym marzyła), w 1975 r. przyjęła propozycję UMK stworzenia nowo powstającym Instytucie Pedagogiki i Psychologii. W 1976 r. wyjechała w celach naukowych do Londynu, po powrocie spotkały ją liczne szykany i represje tak ze strony SB, jak i władz Instytutu, w którym pracowała. Przeszła dwa zawały serca oraz długą rekonwalescencję, a w 1978 r. została zmuszona do odejścia na

emeryturę. Do badań z zakresu nauk pedagogicznych nigdy nie powróciła.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych Elżbieta Zawacka zajęła się gromadzeniem materiałów historycznych, dokumentujących działalność Armii Krajowej w czasie wojny jako emerytka powróciła do tej pracy. Działała w ruchu kombatanckim „Solidarności”, w 1986 współorganizowała w Toruniu Klub Historyczny przy toruńskim oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (działający następnie jako Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka). Dzięki jej zaangażowaniu grono kilku osób w Toruniu zainicjowało, w końcu 1988 r., powstanie ogólnopolskiego stowarzyszenia byłych żołnierzy Armii Krajowej (obecnie Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej). W pierwszym zarządzie głównym tej organizacji, który kładł podwaliny pod jej dalszy rozwój, pełniła funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. W 1990 zainicjowała utworzenie Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” – była jej pierwszym prezesem, a po latach honorowym przewodniczącym Rady. Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka był integralną częścią założonej przez Zawacką Fundacji i funkcjonował do początku XXI w.

W 1989 została laureatką Medalu Stolema – wyróżnienia przyznawanego w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim osobom, które w szczególny sposób przyczyniły się do pomnożenia

dorobku i osiągnięć kultury i Pomorza lub do ich spopularyzowania. W 1990 została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1993 Krzyżem Komandorskim tego orderu z gwiazdą. Od 1996 była profesorem nauk humanistycznych. W 1993 r. Rada Miasta Torunia przyznała jej tytuł Honorowego Obywatela tego miasta, w 2008 r. została Honorowym Obywatelą Piastowa.

3 maja 2006 roku na wniosek warszawskich środowisk kombatanckich Prezydent RP Lech Kaczyński awansował ją do stopnia generała brygady. Została wówczas drugą kobietą-generałem w historii Wojska Polskiego.

W 1990 roku z jej inicjatywy powstała Fundacja Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służbie Polek w Toruniu, obecnie Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej.

<http://www.zawacka.pl/>

(źródło biografii Elżbiety Zawackiej: Wikipedia)

Na podstawie książki Katarzyny Minczykowskiej powstaje film fabularny o Elżbiecie Zawackiej. Reżyserem zwiastuna filmowego jest Bartłomiej Żmuda. W rolę tytułowej bohaterki wcieliła się Katarzyna Bujakiewicz.

Zawsze staję po stronie kompozytora

Krzysztof Urbański, jeden z najwybitniejszych dyrygentów młodego pokolenia, jest Dyrektorem Muzycznym Indianapolis Symphony Orchestra oraz Pierwszym Gościnnym Dyrygentem NDR Elbphilharmonie Orchester w Hamburgu. W 2007 r. ukończył z wyróżnieniem studia w Akademii Muzycznej w Warszawie u profesora Antoniego Wita. Jest laureatem kilku prestiżowych konkursów dyrygenckich. W listopadzie 2018 r. będzie pełnił funkcję gospodarza festiwalu z polską muzyką „My polish heart”, organizowanego z okazji Stulecia Odzyskania przez Polskę Niepodległości przez NDR Elbphilharmonie Orchester.



Krzysztof Urbański, fot. Marco Borggreveall.

Jolanta Łada-Zielke:

Stara się pan interpretować utwory w oparciu o biografie twórców, biorąc pod uwagę wydarzenia towarzyszące ich powstaniu. Czy zawsze udaje się przekonać do tego orkiestrę?

Krzysztof Urbański:

Moje podejście do muzyki zależy od tego, jakim utworem dyryguję. Jeśli to arcydzieło, zależy mi na tym, żeby „odstawić” swoje *ego* na bok i nie próbować realizować siebie przez pryzmat tego utworu, tylko pokazać go najprościej, jak tylko potrafię.

Moja interpretacja jest jak najbliższa wizji kompozytora. Dlatego badam dokładnie jego życiorys. Chętnie studiuję manuskrypty, jeśli mam do nich dostęp. Chcę poznać utwór w jak najbardziej pierwotnej formie, bo przy kolejnych edycjach wydawcy wprowadzają zmiany. Tymczasem rękopis kompozytora zawiera dużo więcej informacji. Można zobaczyć, co zmieniał i poprawiał w trakcie pisania. Studiowanie manuskryptu to także przejaw szacunku wobec twórcy, bo przecież nie jest łatwo stworzyć wartościową kompozycję (wiem o tym z własnego doświadczenia). Poza tym wiele znanych i popularnych utworów obrasta w swego rodzaju tradycję wykonawczą. Często wykonuje się je w pewien określony sposób, choć w manuskrypcie lub materiałach orkiestrowych wyraźnie widać, że nie było to intencją kompozytora. Wtedy dylemat polega na tym, czy poprowadzić utwór tak, jak to robi większość, czy przełamać tradycję i spełnić życzenie kompozytora. Ja biorę najczęściej jego stronę, co prawdopodobnie nie przysparza mi przyjaciół. Proszę sobie wyobrazić orkiestrę, która wykonuje dany utwór w ten sam sposób od stu lat. I nagle przychodzi młody dyrygent, który mówi, że trzeba go zagrać zupełnie inaczej.

W jaki sposób dociera pan do manuskryptów?

Dużo materiałów źródłowych, głównie faksymiliów, znajduje się w Internecie. Ostatnio nagrywaliśmy z Orkiestrą NDR w Elbphilharmonie w Hamburgu V Symfonię Dymitra

Szostakowicza, której oryginalny zapis zaginął. Ale udało mi się dotrzeć do wydawcy (Sikorski), który przekazał mi wszystkie posiadane materiały. Mogłem więc nie tylko zapoznać się z najnowszą edycją, czyli z oficjalnie obowiązującym sposobem wykonania, ale również zobaczyć wszystkie stare wydania z czasów sowieckich, również te publikacje, które ukazały się jako pierwsze, a wśród nich autoryzowane przez samego Szostakowicza.

Czy w przypadku Szostakowicza kluczem do interpretacji są jego przeżycia z okresu stalinizmu?

Zdecydowanie tak, choć to zależy od utworu. W przypadku Szostakowicza problem ten jest jednak bardziej złożony, tworzył on bowiem również na zamówienie polityczne, w celach propagandowych, a utwory takie pozbawione są często głębi. Inna, o wiele większa część jego dorobku obejmuje dzieła, które obrazują jego wewnętrzne, najbardziej intymne przeżycia. Miał niezwykłą ciekawość świata, a jednocześnie był bardzo zamknięty w sobie. Trudno się dziwić, bo żył w nieludzkim świecie, gdzie za mówienie prawdy groziła śmierć. Życie w stanie ciągłego zagrożenia nie zagłuszyło w nim potrzeby twórczej, a muzyka stała się jedynym sposobem na wyrażenie uczuć, myśli, pokazanie swojej wizji świata. Fenomen wielu jego utworów polega na tym, że składają się z dwóch warstw: oficjalnej, propagandowej, nadającej utworowi wydźwięk

socrealistyczny, przemawiający do klasy pracującej, oraz tej drugiej, głębszej, osobistej. Najlepszym przykładem jest tu VII Symfonia, napisana w czasie wojny, która była przedstawiana przez władze sowieckie jako *stricte* antyfaszystowska i antyniemiecka. Ja natomiast dostrzegam w niej sporo osobistych przemyśleń odnośnie wojny w ogóle i bezradności jednostki wobec jej okrucieństwa. Fascynujące jest szukanie w muzyce Szostakowicza drugiej warstwy, z której istnienia nie wszyscy zdają sobie sprawę.

W maju 2018 wziął pan udział w Festiwalu Muzycznym w Elbphilharmonie, dyrygując koncertem, którego program obejmował „Planety” Gustawa Holsta i muzykę z filmu „Gwiezdne wojny”. Czy to celowe połączenie dwóch utworów o tematyce, upraszczając, „kosmicznej”?

Jest kilka powodów, dla których umieściłem te utwory obok siebie. Pierwszy jest bardzo osobisty. W wieku 12-13 lat usłyszałem muzykę do „Gwiezdných Wojen” i zakochałem się w niej, a dopiero później obejrzałem filmy. Po obejrzeniu zadałem sobie chyba pierwsze inteligentne pytanie w moim życiu; dlaczego na początku pojawia się napis *a long time ago in a galaxy far, far away...* (dawno temu w odległej galaktyce)? Skoro to jest film *science-fiction*, jego akcja powinna toczyć się w przyszłości, a nie w przeszłości. To skłoniło mnie do zainteresowania się astronomią, kosmologią i filozofią, które są

po muzyce moją największą pasją. Myślę, że „Gwiezdne wojny” są tak naprawdę dziełem symbolicznym. Wszystkie występujące tam postacie reprezentują klasyczne typy charakterów, nawet roboty mają własną osobowość. George Lucas stworzył niezwykły świat, w którym toczy się walka dobra ze złem, choć nie do końca wiadomo, gdzie kończy się dobro a zaczyna zło. To zupełnie jak u Nietzsche’go. „Gwiezdne wojny” miały wpływ na rozbudzenie mojej ciekawości wobec filozofii i świata. A muzykę Johna Williamsa ciągle uwielbiam.

Zestawiłem „Gwiezdne wojny” z „Planetami”, ponieważ słuchając utworu Holsta, można odnieść wrażenie, że został napisany przez kompozytora filmowego. Nadał on orkiestracji zupełnie nowy wymiar. Orkiestracja, czyli przypisanie dźwiękom barwy za pomocą określonych instrumentów, stała się w „Planetach” czynnikiem formotwórczym. To jest właśnie domena muzyki filmowej, że często zamiast formy, albo samej treści, używa się kolorów, aby zobrazować to, co dzieje się w danym momencie na ekranie. Np. część „Merkury” składa się z jednej melodii, która trwa zaledwie sześć taktów, ale jest powtarzana chyba trzydziestokrotnie i za każdym razem przez inny instrument. To coś podobnego jak „Bolero” Ravela, z tym że Bolero ma długą melodię, a „Merkury” króciutką. Ale dzięki orkiestracji, słuchając tych powtórzeń, właściwie nie odnosi się wrażenia monotonii.

Nie powiedziałbym, że „Planety” to utwór o kosmosie. Oczywiście, wszystkie części są inspirowane planetami, ale Holst kładzie nacisk na mitologię, jako trwałą fundament naszej kultury i pokazuje planety w kontekście symbolicznym.



Krzysztof Urbanski, Festival de Pâques 2016 r., fot. Caroline Doutre.

Co sądzi pan na temat Wojciecha Kilara, którego w Niemczech nazywają polskim Johnem Williamsem?

Bardzo lubię muzykę Wojciecha Kilara, jest autonomiczna i trochę oderwana od trendów obecnych w sztuce drugiej połowy

XX i początku XXI wieku. W jego początkowych utworach widać polskie korzenie, a w jego muzyce jest coś czarującego, ujmującego. Powiedziałbym, że to swego rodzaju uczciwość. Nie oznacza to, że zarzucałbym jakiemuś innemu kompozytorowi nieszczerłość, ale w przypadku Kilara, wszystko co napisał, wpływało głęboko z serca. Myślę, że publiczność słuchająca tej muzyki też to odczuwa.

Jest pan szczególnie ceniony za propagowanie muzyki polskiej, ale patrząc na programy prowadzonych przez pana koncertów, rozszerzyłabym to pojęcie o muzykę słowiańską.

Bardzo lubię prezentować na świecie muzykę polską i cieszę się, że mam tę możliwość, bo bardzo wielu polskich kompozytorów pozostaje nieznanych. Niedawno wraz z moją orkiestrą z Indianapolis byliśmy w Kennedy Center w Waszyngtonie, gdzie obok „Koncertu Wiolonczelowego” Lutosławskiego zaprezentowaliśmy „Credo” Krzysztofa Pendereckiego, które nigdy przedtem nie było tam wykonywane. W Ameryce można usłyszeć je bardzo rzadko. Uważam, że w dzisiejszym świecie sztuka, także i muzyka, jest bardziej uniwersalna, otwarta na wpływy z całego świata. Podobieństwa pomiędzy muzyką krajów słowiańskich, z Polski, Czech, Ukrainy, Słowacji i Rosji, wynikają z ich wspólnych korzeni, ale mają one też swoje indywidualne cechy. Zresztą nawet w Polsce istnieją brzmienia

charakterystyczne dla każdego regionu. Inaczej brzmi muzyka ludowa z Mazowsza, inaczej góralska, która opiera się na swojej autonomicznej skali. Jestem Polakiem i muzyka słowiańska jest mi bardzo bliska.

W swoim repertuarze ma pan „Tren ofiarom Hiroszimy” Krzysztofa Pendereckiego. Czy miał pan okazję dyrygować tym utworem w Japonii?

Dyrygowałem dwukrotnie „Trenem ofiarom Hiroszimy” w Japonii i będę tam ponownie wykonywał ten utwór w 2019 roku. Kiedy pełniłem funkcję Pierwszego Gościnnego Dyrygenta Tokyo Symphony Orchestra chciałem zadyrygować „Trenem...”, ale przez jakiś czas mi to odradzano. Sądono, że ludzie na widowni tego nie wytrzymają i zaczną płakać. Japończycy to wspaniali ludzie, ale o zupełnie innym poziomie emocjonalności, dużo bardziej wrażliwi niż my. A „Tren...” jest utworem wyjątkowo emocjonalnym. Ja sam bardzo przeżywam każde prowadzone przez siebie wykonanie. Po paru latach wspólnej pracy udało mi się przekonać orkiestrę do tego pomysłu. Wykonaliśmy go dwa razy i pamiętam, że dla wszystkich było to wielkie przeżycie. Podczas prób pojawiało się dużo niezwykłych sytuacji, kiedy wspólnie opracowywaliśmy wszystkie odgłosy, brzdęki, klastery, pukania i inne efekty dźwiękowe. Muzycy byli bardzo zaangażowani w proces szukania odpowiednich barw.

A czy był jakiś odzew ze strony melomanów obecnych na koncercie?

„Tren” to zawsze olbrzymi ładunek emocjonalny, ale reakcje publiczności są różne. Na przykład w Indianapolis otrzymałem list od weterana wojennego, oburzonego faktem, że umieściłem w programie ten utwór. A ostatnio na koncercie z San Francisco Symphony Orchestra, reakcja publiczności zupełnie mnie zaskoczyła. Na widowni znajdowała się osoba, która bardzo głośno wyrażała niepocholebne opinie na temat granego utworu. Reakcja na scenie była natychmiastowa, razem z muzykami wytworzyliśmy niesamowitą energię przeciwstawiając się tym krzykom. Publiczność w podzięcie zgotowała nam długą owację na stojąco. To było jedno z wykonań, które zapamiętam na całe życie.

Pamięta pan swój pierwszy występ z tym utworem?

Dyrygowałem nim pierwszy raz w życiu w 2007 roku, będąc jeszcze studentem. Ale w jego właściwej interpretacji pomógł mi później sam twórca, Krzysztof Penderecki. Kiedy świętował swoje osiemdziesiąte urodziny, pani Penderecka zorganizowała piękny festiwal, podczas którego przez cały tydzień były grane utwory z różnych okresów jego twórczości. Będąc wtedy w Warszawie mogłem chodzić na wszystkie koncerty i poznać bliżej jego muzykę. Na koncercie finałowym miałem okazję

dyrygować „Trenem...” i ze wszystkich sił starałem się zrobić to jak najlepiej, aby okazać szacunek i złożyć hołd wielkiemu kompozytorowi. Włożyłem bardzo dużo pracy w przygotowania. Notacja „Trenu...” znacznie odbiega od tradycyjnej, w partyturze są fragmenty z nakreśloną linią czasu i jest napisane, że dany takt ma trwać np. 25 sekund. Są też tam narysowane różne abstrakcyjne kształty i dopiero w partiach jest wytłumaczone, co mniej więcej trzeba robić, żeby wyrazić ten czy inny kształt za pomocą dźwięku, aby nabrał konkretnej akustycznej formy.

Czy często występuje pan w Polsce?

Kilka lat temu z moją orkiestrą z Trondheim podczas europejskiego *tournée* gościliśmy na Festiwalu „Chopin i jego Europa” i mieliśmy przyjemność występować w Filharmonii Warszawskiej i Krakowskiej.

Dwa lata temu miałem okazję występować w sali NOSPR-u w Katowicach i w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu z NDR Elbphilharmonie Orchester podczas *tournée* w ramach Festiwalu Beethovenowskiego, na który zaprosiła nas pani Elżbieta Penderecka. Obie sale zrobiły na mnie duże wrażenie. We Wrocławiu szczególnie zachwyciło mnie brzmienie orkiestry na scenie. Być może to trochę egoistyczne spostrzeżenie, bo orkiestra musi przede wszystkim brzmieć dobrze na widowni, dla publiczności, ale w tej sali na scenie wrażenie było wyjątkowe.

Natomiast w Katowicach podczas próby przygotowawczej, kiedy graliśmy fragmenty utworu, z którym później występowaliśmy, byłem naprawdę oczarowany tamtejszą akustyką na widowni. Cieszę się, że mamy w kraju takie wspaniałe sale koncertowe. Mam marzenie, żeby kiedyś przyjechać tutaj z moją orkiestrą z Indianapolis.

Jak pan ocenia akustykę w Elbphilharmonie?

W grudniu 2016 przyjechałem tam pierwszy raz, ale tylko na nagranie płyty ze „Świętem wiosny” Igora Strawińskiego. Było to przed oficjalnym otwarciem Elbphilharmonie, więc nie miałem okazji posłuchać żadnego koncertu. Potem brałem udział w projekcie „Koncerty dla Hamburga”, którego inicjatorem był Thomas Hengelbrock, szef NDR Elbphilharmonie Orchester. W ramach cyklu orkiestra dawała codziennie dwa krótkie koncerty. Część z nich prowadziłem ja, ale większością dyrygował Hengelbrock. Mogłem więc codziennie dwukrotnie wysłuchać wykonania tych samych utworów, zarówno na koncertach jak i podczas prób, za każdym razem z innego miejsca. Dzięki temu poznałem tę akustykę dość dobrze, co bardzo mi pomogło przy własnych występach, bo już wiedziałem co zrobić, żeby orkiestra brzmiała jak najlepiej. Jest to specyficzna akustyka, ale fascynuje mnie jako słuchacza, bo jest niezwykle transparentna. Jeśli wyteży się słuch, to można usłyszeć pojedynczych członków orkiestry. Ale proszę sobie wyobrazić, jakie to wyzwanie dla

muzyków, kiedy każdy z nich jest tak wyeksponowany. Dla mnie jako dyrygenta najtrudniejsze zadanie polega na tym, żeby orkiestra nie brzmiała jak sto zupełnie różnych odcieni, lecz aby osiągnęła jedną, homogeniczną barwę. Jeśli mówimy o Elbphilharmonie, muszę jeszcze wspomnieć, że uważam ją za jedną z najpiękniejszych sal koncertowych na świecie, a sam budynek za dzieło sztuki. Cieszę się, że mogę obserwować jak Elbphilharmonie tętni życiem, dzięki muzyce i tłumom publiczności.

Fotografie pochodzą ze strony Krzysztofa Urbańskiego:

<http://krzysztofurbanski.com>

O Wojciechu Kilarze:

<http://www.cultureave.com/takie-piekne-zycie-portret--wojciecha-kilara/>

Złote wrota San Francisco



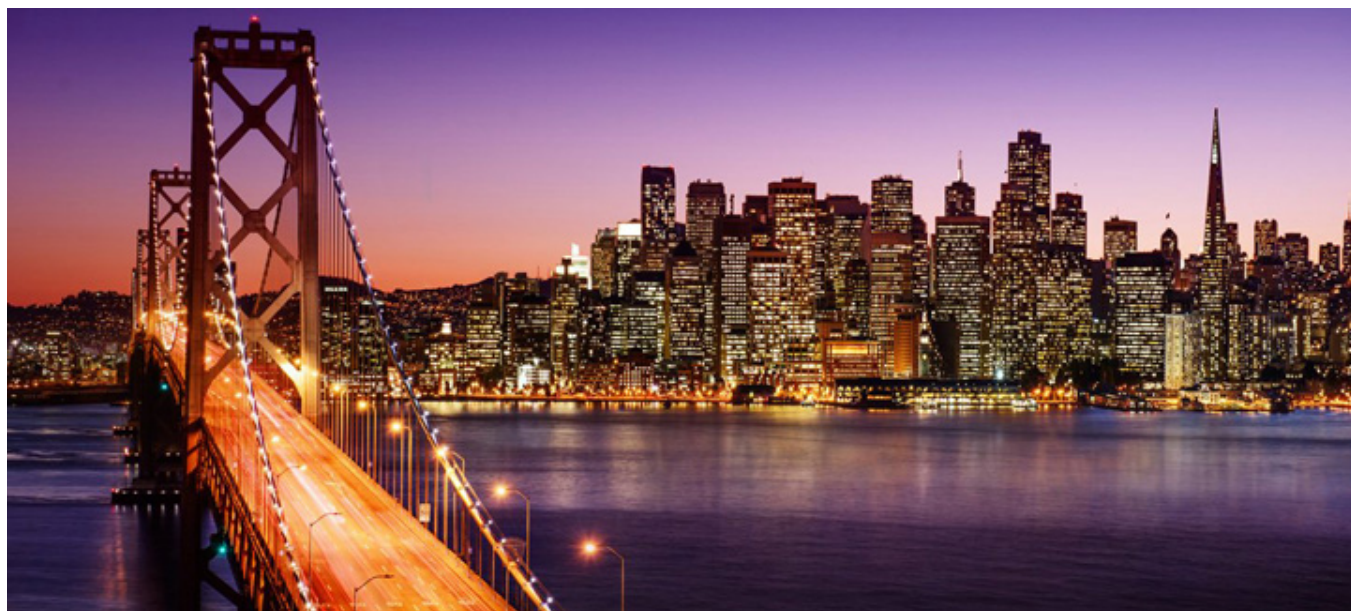
San Francisco

Joanna Sokołowska-Gwizdka

La Boca del Puerto de San Francisco – wykrzyknął na widok nowo odkrytego wodnego przejścia Jose de Ortega, pierwszy kolonizator, który wpłynął na wody zatoki San Francisco w 1769 roku. To okazało wejście do położonego w pobliżu Pacyfiku

słodkiego basenu nazwano później Złotymi Wrotami, otwierającymi wielkie drzwi do bogactwa, szczęścia, odmiany losu dla wszystkich śmiazków, którzy ulegli gorączce złota. Wprawdzie nikt nie prowadził wówczas dokładnych statystyk, ale podobno w okresie największego napływu poszukiwaczy złota, do portu San Francisco zawinęło ok. 1000 statków, a większość z nich po prostu porzucono na wodach zatoki, bo załoga wraz z pasażerami oraz kapitanem wyruszyła w głąb lądu po złoty kruszec. Od tego czasu San Francisco zaczęło się zmieniać. Małe, biedne miasteczko nad Oceanem, powoli przeobrażało się w ogromną, wielokulturową metropolię. Położone na 40 wzgórzach pomiędzy Pacyfikiem a zatoką zaczęło górować na okolicą. Na pocz. XX stulecia powstał pomysł połączenia rozrastającego się miasta ze stałym lądem po drugiej stronie zatoki. Dyskusje na ten temat trwały dość długo. Wiadomo było, że jest to teren sejsmiczny, pamiętano jeszcze wielkie trzęsienie ziemi z 1906 r. Poza tym zastanawiano się jak przeciąć gigantycznym, stalowym mostem zatokę, uważaną za jedną z najpiękniejszych na świecie. Ostatecznie, ten tak ważny projekt zlecono Polakowi, synowi słynnej aktorki Heleny Modrzejewskiej, Ralphowi Modjeskiemu. W 1931 roku został on przewodniczącym komisji inżynierskiej do realizacji tego wielkiego przedsięwzięcia. Potężny Bay Bridge fascynował od początku iście amerykańskim rozmachem oraz tempem budowy. Długość mostu wynosiła 13 km, na budowę zużyto 23 tys. ton stali, a koszt przekroczył wówczas 70 mln \$. Pierwszą, symboliczną

łopatę ziemi na wyspie Yerba Buena wykopał prezydent Franklin Roosevelt w 1933 r. a już za trzy lata oddano trasę do użytku. Zbudować arcydzieło techniki i obraz ludzkich możliwości w tak krótkim czasie, to rzeczywiście niesamowite, największe, najszybsze, po prostu amerykańskie. Uroczystość otwarcia mostu stała się więc czymś w rodzaju narodowego święta. W wieczornym festynie nad zatoką wzięło udział kilkaset tysięcy ludzi. Gigantyczne, bogato iluminowane przęsła, petardy i sztuczne ognie podkreślały rozmiary obiektu i kunszt budowniczych. Bezpośrednio po ukończeniu budowy, most został wyróżniony specjalną nagrodą przez *American Institute of Steel Construction*. Jednak nie ten most stał się najsłynniejszym wiszącym mostem świata. Monumentalny Golden Gate, zbudowany u wejścia do zatoki, łączący Fort Point w północnej części San Francisco z południową granicą okręgu Marin, powstał dopiero rok później. Budował go rówieśnik, przyjaciel, a zarazem wielki konkurent Ralpha Modjeskiego, Joseph Strauss. Polski budowniczy żartobliwie twierdził, że Strauss tworząc tak ogromne obiekty, próbuje sobie zrekompensować swój zaledwie półtora metrowy wzrost. Tak więc mimo, że Bay Bridge był przedsięwzięciem dużo większym, to rekordowa rozpiętość głównego przęsła Golden Gate, wynosząca 1281 m robiła na całym świecie ogromne wrażenie. Odtąd Złote Wrota stały się nie tylko symbolem bramy do spełnionych marzeń, wejściem na złoty ląd, ale równocześnie symbolem Ameryki określanym mianem *American way of life*.



Bay Bridge i widok na San Francisco.

Australijskie noce i dni Adama Fiali

Od 27 czerwca do 15 lipca 2018 r. trwać będzie w Krakowie w Galerii Domu Polonii, Rynek Główny 14, wystawa rysunku i

**malarstwa Adama Fiali, artysty mieszkającego w Australii.
Wernisaż odbędzie się w środę, 27 czerwca, o godzinie 18.00.**



ADAM FIALA

MOJE AUSTRALIJSKIE NOCE I DNI

malarstwo, rysunek

27 czerwca - 25 lipca 2018 Galeria Dom Polonii
Rynek Główny 14, Kraków

Adam Fiala



Pisarz, poeta, grafik i ilustrator, urodził się w Lublinie, w 1985 roku wraz z rodziną wyemigrował do Australii.

Z wykształcenia prawnik, debiutował utworami poetyckimi i grafiką w *Kamenie* w latach 70-tych dwudziestego wieku, a później publikował w *Akancie*, *Naszym Dzienniku* i *Metaforze*. Swoją pierwszą powieść *Jeden myśliwy, jeden tygrys* napisał w 1976 roku, odnosząc sukces i uzyskując pochlebne recenzje krytyków. Kolejne, również dobrze przyjęte powieści, powstały w latach 1977-1979 - *Sprawy rodzinne*, *Zygziem po prostej* oraz *Termiterium wisielców*.

W Australii Adam Fiala kontynuuje pracę literacko-artystyczną, pisze wiersze, prozę satyryczną, rozwija również swoje zainteresowania w kierunku plastyki i muzyki. Jego wszechstronne pasje poszerzają się wraz z akceptacją życia w nowej ojczyźnie, w otoczeniu dzikiej przyrody i rdzennych mieszkańców Australii. Twórca sam siebie określa „w połowie Aborygenem, a w połowie Polakiem”, co niewątpliwie odzwierciedla się we wszystkich kierunkach Jego działalności artystycznej. Prace malarskie i rysunkowe Adama Fiali nie pozbawione są satyry i ironii, oscylują pomiędzy ekspresją sztuki zachodu, a magicznym światem życia rdzennych Australijczyków.

Ulubionym gatunkiem poetyckim artysty są aforyzmy i ostatnimi czasy haiku. Od kilku lat Adam Fiala współpracuje z krakowskim wydawnictwem Miniatura, gdzie wydał już kilkadziesiąt tomików poezji, ilustrowanej swoimi rysunkami i grafiką. Są to dzieła o głębokiej refleksji filozoficzno-moralizatorskiej, z ogromną dozą humoru i dystansu twórcy do siebie i świata. Od 2008 roku ilustruje również książki zaprzyjaźnionych pisarzy i poetów. W Australii stale publikuje w *Pulsie Polonii* i *Przeglądzie Australijskim*. Jego utwory znajdujemy również na stronach internetowych amerykańskiego wydania *Culture Avenue* i w *Magazynie Twórczym Polska-Kanada*.

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989
oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”,
Galeria Dom Polonii w Krakowie

mają zaszczyt zaprosić na

WERNISAŻ MALARSTWA I RYSUNKU

ADAMA FIALI

w opowie poezji z gościnnym udziałem
poety i aforysty Henryka Reja
oraz Mieczysława Mączki
z wydawnictwa Miniatura w Krakowie



27 czerwca 2018 r. (środa) godz.18.00
Galeria Dom Polonii w Krakowie
ul. Rynek Główny 14

Organizatorzy wystawy:



Adam Fiala jest artystą wielokrotnie prezentowanym w magazynie Culture Avenue. Oto wywiad z artystą oraz jego wiersze, rysunki i haiku:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/>

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/>

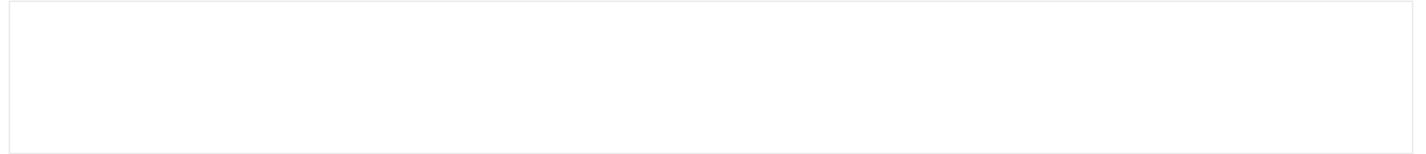
<http://www.cultureave.com/posiwiala-rzeka-haiku/>

<http://www.cultureave.com/poranek-na-bagnach-haiku/>

<http://www.cultureave.com/australijskie-swieczki-haiku/>

<http://www.cultureave.com/na-skrzydloch-kormoranow-haiku/>

Wystawa prac trójki artystów: Anny Fiali, Adama Fiali oraz ich syna Andrzeja Fiali ukaże się w środę, 4 lipca 2018 r.



Jerzy Pietrkiewicz.

Pigmalion i dumna

Galatea.



Christine Brooke-Rose, fot. The Guardian.

Florian Śmieja

Na wsi francuskiej pod Avignon 21 marca 2012 roku zmarła Christine Brooke-Rose (urodzona w 1923 r.), była żona Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), jedna z najgłośniejszych brytyjskich postmodernistycznych powieściopisarek.

Do napisania niniejszego szkicu posłużyłem się, autobiograficzną

książką „Remake” z 1996 roku, którą napisała na prośbę wydawcy, a także „Life, End of” z 2006 r. Dało jej to okazję do przeglądu zapamiętanych scen życia, choć nieco sceptycznie ostrzegła, że każda autobiografia jest po części fikcją i że po latach łatwo przypisać sobie wypowiedzi, by swój portret upiększyć. Natomiast w biografii Pietrkiewicza i informacjach o nim, są tylko bardzo zakamuflowane ślady kobiety, z którą żył przez ponad dwadzieścia lat w najowocniejszym okresie swojej twórczości.

Poznałem Christine bodaj w 1949 roku w Corku, kiedy Pietrkiewiczowie odwiedzili Irlandię, a ja kończyłem studia. Potem pojechałem do Londynu i byłem asystentem Pietrkiewicza w *School of Slavonic and East European Studies* przez cztery lata.

Aczkolwiek Christine urodziła się i wychowała w Szwajcarii, to część dzieciństwa spędziła z ojcem, Anglikiem. Wybuch wojny także zastał ją na Wyspach Brytyjskich. Kiedy wspomina o czasie spędzonym w Liverpoolu, każe mi także myśleć o wojennych chwilach w tym mieście. Tam oglądałem hinduskiego tancerza Rama Gopala, którego ongiś do Polski sprowadził Aleksander Janta, zapamiętałem znakomity koncert filharmonii i zuchwały wyczyn, wizytę w bazie Wrenek, czyli elitarnej Pomocniczej Służby Kobiet Królewskiej Marynarki Wojennej. Do niej aspirowały wykształcone Angielki. Moja przyjaciółka Mary,

stacjonowała w Liverpoolu i tam ją odwiedziłem w buzującym witalnością i dowcipem ośrodku urodziwych nastolatków.

Idylla się skończyła, gdy stchórzyłem, nie przyjmując wyzwania, by towarzyszyć Mary w dniu jej urodzin w styczniu, i przepłynąć zatokę morską, aż do widocznej na horyzoncie wyspy.

Gdy zacząłem pracować w Londynie, zaglądałem często do pobliskiego *British Museum*. Tam w czytelni widywałem Christine, świeżo upieczoną absolwentkę *Somerville College* w Oksfordzie. Studiowała po odbyciu służby wojskowej w Bletchley, jako deszyfratorka, dosłużywszy się w wieku 21 lat rangi kapitana. Przychodziła do czytelni od kilku lat i w niej poznała Jerzego Pietrkiewicza. Moje pierwsze z nim spotkanie było wcześniej, bo w 1946 roku, kiedy w mundurze starszego strzelca przyjechałem ze szkockiego obozu, by zwiedzić Muzeum Brytyjskie. Wtedy Pietrkiewicz zaprosił mnie na kawę i przeczytał mi przekłady poezji angielskiej przetłumaczone na język polski do antologii, którą przygotowywał.

Christine po latach opisała swoje pierwsze spotkanie z Pietrkiewiczem o wiele barwniej. W czytelni zauważyła „najprzystojniejszego młodego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała, z aureolą czarnych włosów nad wpatrującymi się niebieskimi oczyma i delikatnie zadartym w górę nosem”. Młody Beethoven, bo tak go nazwała, także używał biblioteki jako

swojej kancelarii. Przychodził punktualnie o dziewiątej. Czytał książki po niemiecku, angielsku, i w różnych innych językach. A Oskara Wilde'a studiował po hiszpańsku.

Po kilku miesiącach zagadnęła go, a on się ucieszył, że mógł coś wytłumaczyć. „Mężczyźni zawsze mają satysfakcję, kiedy dziewczynę mogą czegoś nauczyć”, zauważyła w autobiografii. Dowiedziała się, że miała do czynienia z polskim poetą pochodzącym ze wsi, który w Warszawie został obwołany polskim Rimbaudem. Pracował nad doktoratem. Studiował na szkockim uniwersytecie w St. Andrews.

Christine poczuła się dumna z takiej znajomości, a on opowiadał jej o poetach: Johnie Donnie, Dylanie Thomasie, Dawidzie Gascoyne, przekładał wiersze pełne aniołów, jezior, polskiego folkloru.

Zaprzyjaźnili się i wkrótce nawiązali romans. Pietrkiewicz miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Nazwała go we wspomnieniach Jankiem. Kiedy spotykali się na ulicy, szli ku sobie. On zatrzymywał się i otwierał ramiona, ona biegła do niego. Po latach zauważyła: „Nie Janek do niej. Bo taki już jest”.

Christine wnet zmiarkowała, że znalazła się w nowej, poważniejszej sytuacji, poznała miłość, którą nazwała estetyczną, i lękała się, że mogła jej zaszkodzić oziębłość, obawa

jakby oboje postawili siebie na piedestale?

Kiedy przyszła dla niej oferta pracy za granicą, skłonna była zapomnieć o studiach i jechać, ale on jej to wyperswadował. Matce komunikowała, że nie wie, czy wyjdzie za Polaka bo jej tego nie proponował. Oboje byli poprzednio w związkach małżeńskich.

Pietrkiewiczowie zamieszkali przy 9 Oakley Street. Pamiętam, że odwiedziłem ich w tym skromnym mieszkaniu na Chelsea. Christine źle wspominała mało wygodny lokal. Na podłodze w różnych miejscach leżały rekwizyty jakiejś gry wojennej, której zawzięcie się oddawali. Ale nie wszystko było grą. Łapczywie chłoneła wiadomości z literatury europejskiej, a do lektury przepisanej przez uniwersytet, Pietrkiewicz dorzucał teksty swojej predylekcji: Kafkę, Hofmannsthalą, ale też Gombrowicza i Choromańskiego oraz Norwida, którego później razem przekładali na angielski i opublikowali.

Te obfite lektury owocowały u niej bujnie na solidnym gruncie podkładu tekstów skandynawskich i anglosaskich. Choć we wspomnieniach przyznaje, że życie z Jankiem było edukacją, domagała się również innej, lżejszej strawy, popularnej i modnej.

Nie wszystko jednak przebiegało harmonijnie. Zdarzały się kłótnie i sprzeczki. Partner zauważył na palcu Christine

pierścionek zaręczynowy z brylantem oraz obrączkę z pierwszego małżeństwa. Dla świętego spokoju Christine rzuciła pierścionek dramatycznym gestem do Tamizy.

Kiedy wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego w 1948 roku, Christine przełożyła obrączkę na prawą rękę zgodnie z polskim zwyczajem ku satysfakcji męża. „Bo taki już jest”, dodała po czasie kwitując zadziwiającą chłopską pazerność ukazującą się nagle spod patyny przykładnej dyplomacji. Wspomina też o jego przesądach i religijności.

W lipcu 1954 roku odbył się nasz ślub z Zofią Poniatowską w kościele na Clapham Common w Londynie. Na Mszy św. zebrała się gromadka gości. Oprócz rodziny panny młodej, Teść był znanym piłsudczykiem, pojawiła się marszałkowa Aleksandra Piłsudska, śpiewał bas Opery Covent Garden, Marian Nowakowski, bo przyjaźniliśmy się z jego żoną, pisarz Jan Bielatowicz, przemówił na przyjęciu, poeta Józef Bujnowski osobiście wydrukował zaproszenia na ślub, stawiała się popularna felietonistka „Dziennika Polskiego” Krystyna Cywińska. Przyszli też Jerzy i Christine Pietrkiewiczowie.

Dziś, zapoznany z zawiłościami ich sytuacji psychicznej, zastanawiam się ,jak ci ostatni odbierali mój ślub i całą ceremonię? Czy był on jakąś prowokacją, czy rodziły się u nich wątpliwości, co do solidności i bezpieczeństwa własnego

związku? Czy moja publiczna demonstracja kazała wspomnieć ich nie nagłośniony związek kryjący różne sprzeczności i pułapki. Czy nie stanowił zgrzytu? Był budujący czy niepokoił? A może zapalił jakąś isierkę mającej się nie spełnić nadziei?

Pietrkiewicz przesadzał z ostrożnością, radził nie dzielić się informacjami, by nie zostały wykorzystane. Nie przyznawać się do porażek. Podejrzewał słowa, a może tylko angielskie słowa?

Rzadko mówił o miłości, napisał po polsku dla niej wiersz „The spelling of love”. Nazywał ją kotkiem, ale ona wyczuwała jakieś wykluczenie z sekretnej intymności. Religijność jego była dziwnie poetycka, nie wymieniała Boga, ale Anioły, Świętych, Matkę Boską. Natomiast niczego nie narzucał. Wyznawał taką religijność *a la Greene i Waugh*. Christine na wpół godziła się na chodzenie na Mszę z nim co niedzielę, choć uważała się za ateistkę.

Christine skończyła doktorat z angielskiego, a kiedy mąż zapadł na ciężką chorobę w 1956 r., zaczęła pisać pierwszą powieść: „The Languages of Love”. Przez następnych dziesięć lat współpracowała jako krytyk z najlepszymi czasopismami Londynu. Wydała też powieści „Sycamore Tree”, „The Dear Deceiver” oraz „Out”. Były to narracje satyryczno-obyczajowe.

We wspomnieniach przyznała, że istniał w ich związku milczący

konflikt. Mąż będąc katolikiem żył w niezgodzie z wiarą przez te wszystkie lata. Zainicjowała więc w Rzymie przewód, by swoje poprzednie małżeństwo, zawarte w kościele anglikańskim, anulować. Przewód trwał kilkanaście lat i kosztował Christine wiele pieniędzy. „Jego wiara była prosta, głęboka i spokojna, nieobciążona sofistyką autorytetów duchownych”.



Christine Brooke-Rose (pierwsza z prawej) w mundurze WAAF, zanim poszła do Bletchley Park. fot. Harry Ransom Center, University of Texas at Austin.

Christine natomiast zawsze rzucała się w wir wydarzeń. Dziwiła się też, dlaczego mężczyźni robili tyle szumu z powodu seksu.

Pamięta, że Pietrkiewicz codziennie potrzebował komplementów, choć sam nimi nie szafował. Łajał żonę, że mało czasu poświęcała toalecie. Raz w polskiej kawiarni w obecności byłej żony, Danuty, zarzucił Christine, że miała nieupudrowany nos.

Skarżyła się, że Polacy mają obsesję na tle polityki. Kiedy skrytykowali pierwsze angielskie powieści męża, radziła mu przerzucić się na inne tematy. Na przedstawieniu „Wesela” Wyspiańskiego Christine wprowadzona już właściwie w tekst musiała wysłuchać głośnego tłumaczenia starego polskiego profesora ze wstydem i przy sarkaniu widowni. Pomyślała, że widocznie niektórzy Polacy doszli do wniosku, że Christine nie zasługiwała na swojego męża. Angielscy znajomi natomiast sądzili, że miała nieodpowiedniego partnera. Po latach zrozumiała jego męczarnie, kiedy musiał się adaptować w życiu zawodowym, pojmowała jego podejrzliwość i tolerowanie arogancji i okazywanie wyższości angielskiej, nic dziwnego, że był uprzedzony i nieraz używał słowa krytycznego „angielski” zamiast po prostu „ludzki”.

Christine знаła wiele prawd o komunizmie, których nie przyjmowali ludzie na Zachodzie. Niemniej ganiła niecierpliwość Polaków chcących natychmiastowych reakcji politycznych na komunistyczne prowokacje. Apelowała do rozsądku i cierpliwości.

Kiedy wyszła za mąż, obcięto jej stypendium, bo mąż miał odtąd być odpowiedzialny za utrzymanie żony. A on musiał zadowalać się mało płatnymi kursami i uciążliwym poprawianiem maturalnych egzaminów. Miał też długo paszport bezpaństwowca i kłopoty na granicy. Wyjeżdżając na wakacje także pisali, a wieczorami zabawiali się czytaniem napisanych rozdziałów.

Kiedyś Christine wybrała się sama do Salzburga, a kiedy po powrocie otrzymała fotografie ze zjazdu, naraziła się na podejrzenie i oskarżenie o niewierność. We wspomnieniach zapisała, że to był moment, kiedy po raz pierwszy straciła zaufanie. Mówiło się jeszcze o tym, że razem stanowili odporny czołg, ale mąż pozwalał sobie na flirty. Nie była zazdrosna. Na problemy z seksem polecił jej czytanie Kama Sutry.

Polepszenie warunków materialnych pozwoliło na kupno mieszkania w prestiżowej dzielnicy Hampstead. Pewnego Sylwestra poszli na prośzone przyjęcie. Christine poczuła się źle i chciała iść do domu. Mąż flirtował i musiała wrócić sama. Następnego dnia wylądowała w szpitalu. Choroba kosztowała ją utratę nerki. Mimo to Christine stawiała się w Rzymie przed sądem św. Roty. Przyszło anulowanie małżeństwa z Rzymu. Brak dzieci ułatwiał sprawę.

Kupili samochód i nauczyli się prowadzić. Ale destrukcja

małżeństwa trwała. Po swoich weekendowych eskapadach mąż pytał ją o kobiece bóle. Pomalutku niszczył jej samopoczucie i szacunek do siebie, strącając przy tej okazji i siebie z piedestału. W rezultacie nastąpiła czasowa separacja. W 1968 r. Christine wyjechała do Paryża na oferowaną posadę, „smutna lecz dumna ze swej niezależności”.

W autobiografii „In the Scales of Fate” z 1993 roku Pietrkiewicz opowiedział o swoim życiu do 1953 roku uważając za cezurę ten rok wydania swej pierwszej powieści po angielsku. Nie wspomina pierwszego małżeństwa z Danutą Karel. Scenę poznania w czytelni *British Museum* opisuje podobnie. Christine wprowadziła go do angielskiej literatury dziecięcej „Alicji w krainie czarów” i „Misia Puchatka”. Wspominając te lata po czasie i znając ich finał, autor próbuje ostrożnej refleksji. „Miłość ma zawodny i zmienny temperament, kiedy jest się młodym, może uważamy ją za zbyt pewną”.

Ale odzywają się też inne nuty. „Popęd erotyczny zachowuje się inaczej, zwłaszcza w średnim wieku, pędzi w nieznajome, które trzeba było wcześniej zbadać”. Po chorobie musiał przejść na dietę. Okazało się, że im bardziej ascetyczna była, tym mocniej fizycznie nalegała na potrzebę Erosa. „To była moja broń na przeżycie i odnowa wiary w życie”. Szukając leku na sytuację wymienił potrzebę... pokory.

Przełom w pisarstwie Christine nastąpił już w 1962 roku w następstwie refleksji po ciężkiej i przewlekłej chorobie. Od tego czasu zaczęła eksperymentować z językiem i formami powieści. Na podparyskim uniwersytecie przyjęła posadę wykładowcy, a potem profesora angielskiej i amerykańskiej literatury i teorii literackiej. Na emeryturę przeszła w roku 1988 i osiadła w Prowansji.

Wakacje uniwersyteckie pozwoliły jej pisać. W powieści „Such”(1966) opisała doświadczenia astronoma po śmierci opowiedziane w terminologii astrofizyki. W 1984 r. wyszedł „Amalgamemnon” i trzy dalsze powieści traktujące o schyłku humanizmu, o napięciu między faktem, a wyobraźnią, o statusie kobiety wobec tradycyjnej hierarchii.

Swoimi powieściami i esejami krytycznymi zdobyła międzynarodowy rozgłos jako nowatorska pisarka postmodernistyczna. Pisała po angielsku, ale jej twórczość powiązana jest z francuskimi teoriami literackimi. Przełożyła na angielski głośną powieść Alaine’a Robbe-Grilleta „Dans le labyrinthe”. Wypracowała sobie własny styl eksperymentalnej prozy dowodząc, że w ostatecznym rozrachunku fikcja to sprawa języka i nie oddaje rzeczywistości. Stała się autorytetem. Niektórzy krytycy wymieniają ją dziś obok Wirginii Woolf i Gertrudy Stein. Jej proza stawia czytelnikowi wysokie wymagania i wprowadza gęstą aluzyjność.



Christine Brooke-Rose



Christine Brooke-Rose

Pietrkiewiczowi odpowiadało kształcenie i kształtowanie Christine, a ona terminowanie też wysoko ceniła, ale kochała człowieka, a nie Pigmaliona, dzielenie się wiedzą było dla niej jedynie dodatkiem. Bo ona również formowała i dawała z siebie szczerze latami całymi. Mnie trudno sobie wyobrazić osiem powieści Pietrkiewicza po angielsku bez Christine. Z jej odejściem przestały się już ukazywać. Ona pragnęła równości dwu szanujących siebie nawzajem partnerskich autonomii. A to okazało się niemożliwe.

Ich związek, który obojgu umożliwił wybitne osiągnięcia, nie

doczekawszy się potomstwa, zabiła w końcu nieszczęsna zazdrość, narcyzm i zaborczość.

Otrzymywane na starość telefony od Pietrkiewicza już nie potrafiły zatrzeć rozżalenia Christine, odbierała je bez entuzjazmu, nie czuła w nich żadnej zmiany, relacjonuje je z przekąsem, sarkazmem, może z jęczącym bólem.

To Eks, poeta polski, angielski profesor i europejski emigrant, telefonuje od czasu do czasu. Dlaczego? Opuszczony 35 lat temu po 22 latach niezwykłego małżeństwa roztrwonionego dla czarnowłosej dziewczyny z mozaikowymi oczami. Wszystko to sprawa menopauzy około pięćdziesiątki ubrana w nierozpoznany przedramatyzowany romans: „Chcę być ubóstwiany”, zawołał kiedyś w ekstazie zanim wyczerpała się cierpliwości żony witającej go z kolejnego romantycznego wypadu. Może znalazł to, czego szukał, medytowała zdziwiona, że nawet w późnym wieku myślał tylko o sobie.

I taki nam jego obraz zostawiła.

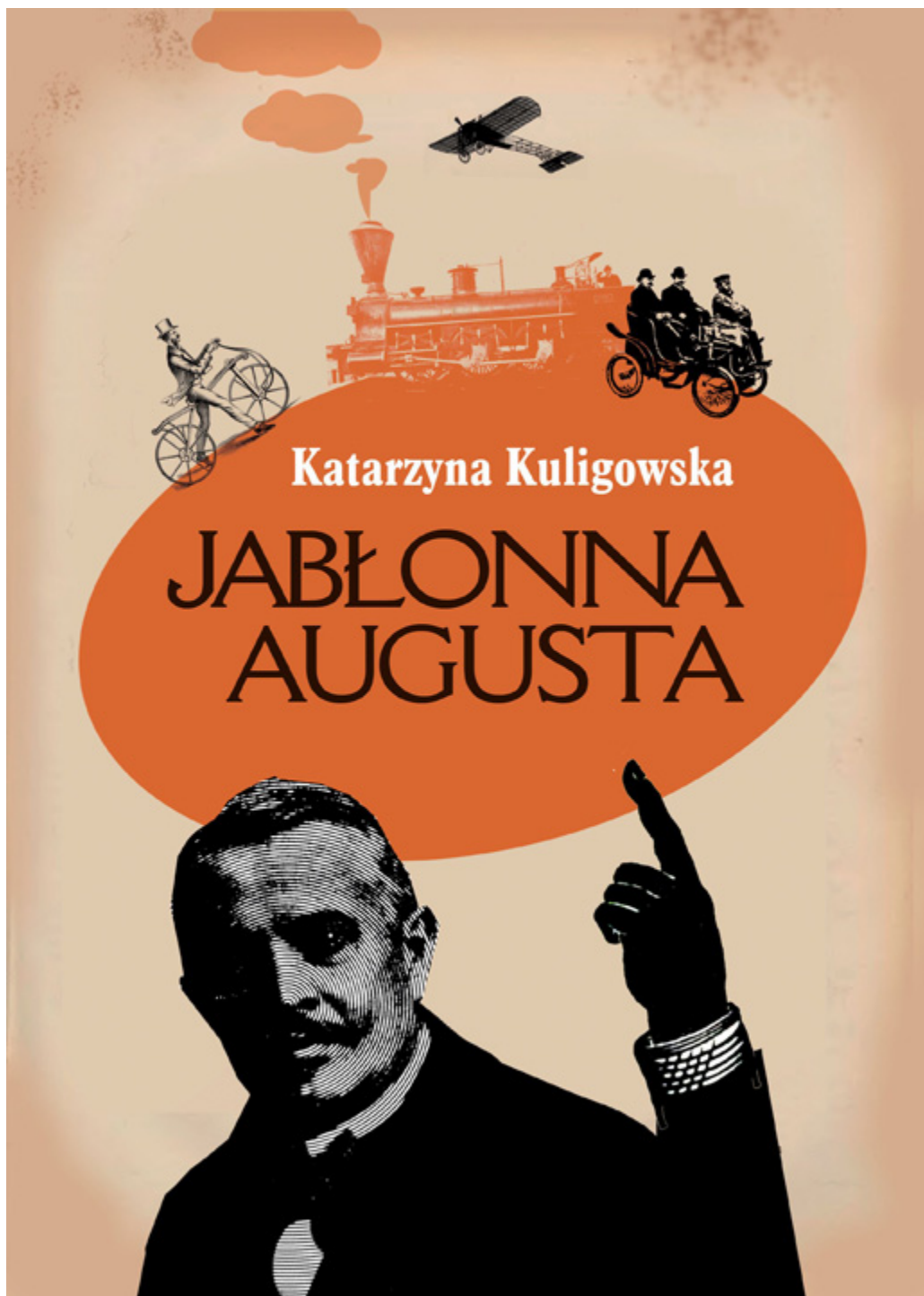
Z perspektywy lat Christine wyróżniła jednak jedną wspólną cechę, którą dzielili mimo, że już żyli samotnie, osobno, z wieloma, aczkolwiek różnymi przyjaciółmi, w nieswoich krajach, pisali w obcych językach: – oboje byli do końca suwerenni.

Jerzy Pietrkiewicz na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/nestor-poetow-emigracyjnych-jerzy-pietrkiewicz/>

<http://www.cultureave.com/arriba-silesia-wspomnienie-o--jerzym-pietrkiewiczu-1916-2007/>

Teatralne pasje
doktora Stanisława
Bzury z Jabłonny



Okładka książki Katarzyny Kuligowskiej, wydanej przez Bibliotekę Publiczną w Jabłonnie w 2018 r., poświęconej historii teatru amatorskiego w tej miejscowości.

Katarzyna Kuligowska

W Jabłonnie, na początku ubiegłego wieku, działał amatorski teatr. Jeśli każdą historię porównamy do książki, to przez

zupełny przypadek natrafiłam na końcowe okładki książki o ciekawej historii w Jabłonie. Stałam się posiadaczką trzech plakatów teatru amatorskiego. Afisze z lat 1901, 1903 i 1908 świadczą, że w pierwszych latach XX. wieku działał w Jabłonie amatorski teatr, którego dochód z przedstawień, początkowo, przeznaczany był na cele charytatywne. Głównymi animatorami pierwszych przedstawień teatru byli pan Stanisław Bzura (jabłonowski lekarz, znawca winorośli, społecznik) oraz jego żona, Bronisława.

Wracając do wspomnianej na początku „książki”, byłam przekonana, że teatr i piękne plakaty stanowią ciekawą informację same w sobie, ale szybko okazało się, że plakaty stanowią tylko okładkę, i że czas poszukać wielu, jakże różnych rozdziałów tej fascynującej książki.

W drugiej połowie XIX. wieku rozpowszechniła się w Polsce idea obsadzania traktów i miejskich ulic drzewami. Tworzyła się piękna tradycja, podczas której szkolna młodzież sadziła drzewka pod opieką nauczycieli oraz proboszcza, każde dziecko miało „swoje” drzewko, którym powinno się opiekować i w ten sposób dbać o wszystkie drzewka. Uroczystość sadzenia rozpoczynała modlitwa i śpiewanie odpowiedniej piosenki, np. „Zielony gaik”.

Jeśli wierzyć prasie codziennej, święto drzewek zawitało do Jabłony w roku 1899. Opiekunami akcji byli państwo Bzurowie,

a sferą duchową zajmował się ksiądz Antoni Lipski, proboszcz z Chotomowa. W roku 1900, o czym poinformowała nas prasa, ze szkółki Jana Zamoyskiego w Podzamczu (koło Garwolina) kupiono 500 drzewek (150 klonów, 50 jesionów i po 100 sztuk jarzębiny, wiązów i igliczni). Jakie drzewka sadzono w latach późniejszych prasa milczy, nie wiadomo też gdzie je kupowano. W sobotę 17 listopada urządzono „święto drzewek” i uczestniczyły w nim wszystkie dzieci ze szkoły pod opieką nauczyciela p. Zagórskiego, niektórzy włościanie oraz rodzice dzieci, którzy pomagali w całej akcji (szczególnie wyróżniał się w tym tutejszy gospodarz Klimczak). Ksiądz Lipski drzewka poświęcił i posadzono je głównie przy drodze przez Jabłonnę, ale też wzdłuż drogi do Chotomowa. W późniejszych latach obsadzono także inne trakty i drogi.

Drzewka ze szkółki Podzamcze trzeba było kupić i tu kolejny pomysł państwa Bzurów. Zorganizowano amatorski teatr, którego przedstawienia finansowały zakup kolejnych drzewek. Czy zakup drzewek był jedynym celem teatru, czy także finansowanie innych akcji społecznych, nie wiadomo.

Aktorami teatru byli mieszkańcy i włościanie z Jabłonny i okolic, ale w przedstawieniach brali udział także goście zaproszeni z Warszawy. Przedstawienia odbywały się w zaadaptowanym do tego celu budynku usytuowanym blisko poczty. Co ciekawe, żadne informacje nie wiążą działalności jabłonowskiego teatru

amatorskiego z pałacem i rodziną Potockich. Państwo Potoccy udzielali się społecznie, ale w Warszawie, w lepiej urodzonym towarzystwie, nie wtrącając się w inicjatywy mieszczańskie i włościańskie. Najbardziej znaną imprezą Potockich, której dochód przeznaczony był na cele społeczne, był coroczny bal kostiumowy w pałacu, gdzie zarówno panie jak i panowie bawili się w strojach z wcześniej ustalonej epoki.

Państwo Bzurowie wolne chwile poświęcali działalności społecznej, na zbieraniu funduszy na różnego rodzaju ochronki, domy dziecka, dla biednych samotnych matek itd. Amatorski teatr w Jabłonie działał prawdopodobnie tylko przez pierwsze kilkanaście lat XX. wieku. Najstarszy znany mi plakat pochodzi z roku 1901. We wcześniejszych latach nie udało mi się odnaleźć żadnych wzmianek prasowych o istnieniu teatru, poza króciutką wzmianką anonimowego autora, który bolejąc nad losem biednych, podwarszawskich włościan, komentuje różne obietnice składane im w ministerstwach.

Przegląd tygodniowy. 10 (22) czerwca 1895 r. Nr 25

Echa warszawskie.

[...] Nim wszakże „historya” ta dziennikarska dotąd urzeczywistnienia na właściwym gruncie się doczeka, włościanie, zamiast łudzić się mglistymi „bajkami”, sami zaczynają przeziierać i myśleć o sobie...

Ażeby naprzykład dzieci miały jakieś zajęcie pożyteczne w niedziele i święta, mieszkańcy słomokrytej Jabłonny zorganizowali orkiestrę chłopięcą, występującą już podobno publicznie... Myśl wcale niezła, jeśli tylko te „chłopięta” umieją czytać i pisać, co po za „basowaniem” przydać się może nawet w tych czasach. Trzeba bowiem wiedzieć, iż jakkolwiek nic nie wiemy, jaki procent piśmiennych włościan jest w orkiestrze p. Namysłowskiego, przecież maestro zrobił ze swoją siermiężną drużyną wielką furorę na tegorocznym corsie (wystawa kwiatów w Warszawie). [...]

Nic nie wiemy o panu Namysłowskim i dalszych losach jego „chłopców”, ale widać, że w czasach płatnych szkół, patriotyzm w „słomokrytej” Jabłonce rodził się w działaniach kulturalnych.

Ostatnie wzmianki w gazetach o teatrze pochodzą z roku 1914, z 1908 r. pochodzi ostatni plakat, bardzo skromny w formie, ale od roku 1903 w warszawskiej prasie przez kilka lat nie ukazywały się już żadne informacje o teatrze amatorskim w Jabłonce. Trudno ocenić, dlaczego tak się stało, ale tych kilka, umieszczonych poniżej, maleńkich wzmianek z Kuriera Warszawskiego niech przybliży nam choć trochę realiów z życia kulturalnego Jabłony.



Plakat z 1901 r., wydrukowany na japońskiej bibułce.

Kurier warszawski, dnia 29 sierpnia 1901 r.

„Przedstawienie w Jabłonnie. Zamierzony wieczór organizowany przez kółko amatorskie, z przeznaczeniem dochodu na obsadzenie drzewkami szosy w obrębie Jabłonn, ma program nader urozmaicony.

Złożą się nań: „Trio” d-mol Mendelсона wykonają pp. K. Kustner, K. Czerwiński i N Kamiński, solo odśpiewa tenor p. W. Stern; „Reverie”; solo Poppera na wiolonczeli wykona p. K. Czerwiński; komedijki: „W starym piecu djabeł pali”, „Dzieci Muzy” oraz monologi wypowiedziane przez p. Ożarowskiego, uzupełniają program wieczoru.

Ostatni pociąg specjalny wyjedzie z Jabłonn o godz. 12-ej w nocy”.

Być może było to pierwsze lub jedno z pierwszych przedstawień tego teatru. Sugeruje to świetna organizacja transportu (pociąg specjalny) i duży, kolorowy plakat wydrukowany na japońskiej, pachnącej bibułce. Sponsorem przedstawienia i plakatu był pan Fryderyk Puls, warszawski właściciel fabryki pachnideł i kosmetyków Puls S.A. Fryderyk Puls był sponsorem wielu podobnych przedsięwzięć, między innymi na podarowanej przez niego pachnącej bibułce drukowano zaproszenia do teatru w Kamiennej (kieleckie). Dochód z przedstawienia Bzurowie przeznaczyli na zakup drzewek, którymi później obsadzono jabłonowskie ulice.

Należy także wspomnieć o aktorach, którymi byli zamożniejsi włościanie i mieszczenie Jabłonn oraz liczni goście zaproszeni z

Warszawy.

KURJER WARSZAWSKI Dnia 2 września 1901 r.

Teatr w Jabłonce.

Wczoraj w miejscowości tej odbyło się widowisko dramatyczno-muzykalne na fundusz sadzenia drzewek, cel widocznie żywotny dla Jabłony. Na program złożyły się Wesołe komedijki „W starym piecu djabeł pali” i „Dzieci Muzy”, odegrane z werwą, humorem i artystycznym wykończeniem przez panie Bzurową, Sokołowską i Niecingiewiczównę, tudzież p. Ryszarda Hergeta (dzielnego bohatera tej sympatycznej trupy amatorskiej), Michałowskiego, Rosińskiego, Kędzierskiego, W. i Z. Hergetów. Gra tryskała życiem i toczyła się swobodnie, świadcząc, o dużej pracy i samorodnych zdolnościach amatorów.

Interesująco zarysowała się część muzyczna. Niespodzianką było pojawienie się na estradzie dwóch ślicznych dziewczątek, Natalci Kuserówny i Stefci Oleksińskiej, które drobnymi rączkami wykonały z rytmiką wzorową i precyzją, w tak młodym wieku nieczęsto spotykaną, „Marsz Radeckiego” i „Tańce węgierskie” Brahmsa.

Poznaliśmy także wiele obiecującego skrzypka w osobie p. Zygmunta Kustera, który grał z inteligentnem zrozumieniem partję skrzypcową w „Trio” Mandelsohna, a zachwycił wszystkich poetycznem wyśpiewaniem „Reverie” Vieuxtempsa. Na wszelkie uznanie zasłużył p. W. Stern, śpiewający ładnym tenorem, tudzież pp. Wiśniewski i Kamiński, uczestniczący dzielnie w „Trio”.

Salwami szczerego śmiechu przyjmowano wyborne monologi p. Ludomira Ożarowskiego.

Słowem – dzięki zabiegliwości i sprężystości głównych aranżerów widowiska, dr. Stanisława Bzury i P. Feista – wszystko udało się wyśmienicie. A co najważniejsza – teatr był przepełniony, a więc i dochód zapewne dość znaczny.

W przedstawieniach brali udział mieszkańcy Jabłony: panie

Bzurowa (żona doktora Bzury), Sokołowska (żona naczelnika poczty), Nieciengiewicz, oraz panowie R. Herget, W. Herget, Z. Herget (synowie zarządcy majątku Potockich), J. Rosiński, Michałowski, Kędzierski. Koncertowali Z. Kuster, K. Czerwiński, W. Kamiński, W. Stern.

Powyższa informacja pokazuje, że przedstawienia jabłonowskie były bardzo zróżnicowane – były skecze, śpiewy, koncerty czy monologi, a jabłonowskich aktorów wspomagali na scenie różni zaproszeni z Warszawy goście. Bilety były zróżnicowane, od 30 kopiejek do 2 rubli – krzesła w pierwszych rzędach kosztowały najdrożej, a stojące wejściówki po 30 kopiejek. Przedstawienia odbywały się w pod koniec lata, w niedziele w godzinach wieczornych. Teatrem był stojący gdzieś obok poczty, nieustalony gminny budynek, który przestał istnieć po około 1904 roku. Być może jako salę teatralną wykorzystywano również pomieszczenia „halli” obok stacji Kolei Nadwiślańskiej. August Potocki był przez wiele lat prezesem Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów (WTC) i wiosną każdego roku organizował rowerowe wycieczki z Warszawy do Jabłonn. Panom na welocypedach towarzyszyły pięknie wystrojone damy, które przybyły w kolaskach. Po zakończeniu spotkania cyklistów przy ogniskach, odbywał się, zapewne w „halli” , wielki bal.

Kurjer Warszawski, Dnia 5 sierpnia 1902 r.

Teatr amatorski w Jabłonie

Pod kierunkiem p. Ryszarda Hergeta odbyło się w niedzielę ubiegłą w Jabłonie przedstawienie amatorskie, na którem odegrano komedję Bałuckiego „Radcy pana radcy”, a śpiew, gra na fortepianie i skrzypcach oraz monologi – dopełniły programu wieczoru.

W komedji „Radcy pana radcy” wystąpili: panie: z Olsztyńskich doktorowa Bzurowa, Odynieć-Szymańska i Nieciengiewiczówna i pp.: Ryszard Herget, Słomczyński, Rosiński i Dobrowolski.

Artyści-amatorzy wywiązali się z zadania bardzo dobrze.

Udatnie też wypadły monologi p. Trojanowskiego.

W części koncertowej dwunastoletni p. F. Szolc, uczeń konserwatorium petersburskiego, odegrał kilka ładnych własnych kompozycji na fortepianie a p. K. Szolc wykonał na skrzypcach romans z „Damy pikowej”.

Prawdziwą ozdobą tej całości był śpiew solowy pani Odynieć-Szymańskiej.

Publiczność nie szczędziła artystom-amatorom oklasków i kwiatów, na które w zupełności zasłużyli.

Z tego przedstawienia plakat się nie zachował, ale odnalazła się krótkka wzmianka prasowa.

Kurier Warszawski, Dnia 22 sierpnia 1903 r.

Teatr amatorski w Jabłonie.

Dzięki inicjatywie dra Stanisława Bzury odbędzie się jutro w Jabłonie, w budynku obok poczty, przedstawienie amatorskie pod. kierunkiem p. Trojanowskiego. Program obejmuje dwie jednoaktówki, śpiew solowy, grę na fortepianie oraz deklamację. Dla udogodnienia powrotu gościom, spodziewanym z Warszawy, zarząd kolejki Jabłonna-Wawer przeznaczył pociąg nadzwyczajny, który odjedzie z Jabłony zaraz po skończonem przedstawieniu.

Początek o godzinie 7 – 1/2 wieczorem.

O ile plakat z roku 1901. był duży i pełen kolorowych elementów graficznych, plakat z roku 1903. jest dwustronny, skromny i niewielki. Podobną tendencję wykazuje także plakat z roku 1908 – prosty i tani w druku.

Tablonna 1903 r. *Tablonna*

W Niedzielę 23 Sierpnia

Przedstawienie Amatorskie



Dzisiejsi

Komedja w 1 akcie—M. Gawalewicz.

OSOBY:

Janina	P. Kuskowska
Józef	P. Stomczyński
Służący	* . *



KONCERT.



NASZE BZIKI

Farsa w 1-ym akcie H. Piątkowskiego.

OSOBY:

Wirski	P. R. Herget.
Madzia, jego córka	P. M. Kędzierska.
Dziubkiewicz	P. Krassowski.
Tęczokolorski, malarz impresyonista	P. W. Herget.
Idzi Pazur Idealski, dekadent	P. Rosiński.
Atanazy Koszonka	P. Buczyński.
Gertruda	P. Odyniec.
Szeliński, doktor	P. Zagórski.

Początek o godzinie 7^{1/2} wieczorem.

Druk. i Lit. JANA COTTY, Kapocynska № 7 w Warszawie.

Plakat z 1903 r.

Kurier Warszawski, Dnia 25 sierpnia 1903 r.

Z letnich siedzib.

Dzięki niestrudzonemu reżyserowi p. Stanisławowi Trojanowskiemu, niedzielne przedstawienie amatorskie w Jabłonnie powiodło się znakomicie. W jednoaktówce Gawalewicza „Dzisiejsi” p. Edwardowa Kuszkowska i p. Józef Słomczyński zbierali zasłużone oklaski. Następnie czarowała słuchaczy dźwięcznym swym sopranem p. Janina Choynowska, którą obsypano kwiatami. Duże powodzenie miała gra na fortepianie (p. Scholtz) oraz monologi p. Trojanowskiego i Szaniawskiego. Gwoździem zabawy była jednak komedyjka Henryka Piątkowskiego: „Nasze bziki”. Rolę Madzi wdzięcznie oddała panna M. Kędzierska. Znakomitą Gertrudą była p. Odyniec-Szymańska, a pp.: Ryszard Herget jako Wirski, Buczyński – jako Koszonko i Krassowski jako Dziadkiewicz, grali jak rutynowani artyści. Pp.: Władysław Herget (Tęczokolorski) i Józef Rosiński (Pazur Idealski), wywiązali się z zadania bez zarzutu. Doktorem Szemplińskim był p. Słomczyński. Powodzenie artystów-amatorów było ogromne; po każdej scenie sypały się grzmiące oklaski ze strony rozbawionej publiczności. Sprzedaż programów zajęły się uproszone panie: Franciszkowa Hergetowa i Stanisławowa Bzurzyna. Słowo prawdziwego uznania należy się doktorostwu Stan. Bzurostwu i pp. Janostwu Sokołowskiemu, organizatorom tej sympatycznej zabawy, z której dochód przeznaczono na cel dobroczynny.

Być może wygłaszający monologi pan Szaniawski, miał wówczas 17 lat i mieszkał w pobliskim Zegrzynku, a w późniejszych

latach, już jako Jerzy Szaniawski, został znanym polskim dramaturgiem.

Przedstawienie powyższe dokumentuje drugi zachowany plakat. Mały, dwustronny, skromny w formie. Sugeruje bardzo niską cenę druku. Prawdopodobnie po roku 1903 przedstawienia teatru nie odbywały się aż do 1907 roku. Dlatego też z tego okresu nie ma plakatów i choćby najdrobniejszych wzmianek w prasie o przedstawieniach.

Kurjer Warszawski, Dnia 5 sierpnia 1907 r.

Teatr w Jabłonce.

Staraniem inteligencji miejscowej zbudowano w Jabłonce salę teatralną, mieszczącą około 200 osób.

W przyszłą niedzielę, d. 11-go b.m., o godzinie 7-ej wieczorem odbędzie się inauguracja tego teatru na letnisku.

Na program tego widowiska złożą się "Dziewiczy wieczór" Zapolskiej, „Na przekór” i „Pożegnanie” Z.Przybylskiego oraz „Bzik mojej żony.” Jednoaktówki te odegrają amatorowie.

Po przedstawieniu pociąg specjalny kolejki Jabłonna-Wawer odwiezie widzów do Warszawy.

Wieczór ten teatralny zainteresował bardzo mieszkańców Jabłony.

Bardzo ciekawa informacja. Mała Jabłonna zafundowała sobie drugi teatr i salę z prawdziwego zdarzenia.

Kurjer Warszawski. Dnia 28 sierpnia 1907 r.

Teatr w Jabłonie.

W niedzielę, dnia 1-go września, odbędzie się w kasynie miejscowem w Jabłonie przedstawienie amatorskie z koncertem.

Na program składają się komedje: „Stryj przyjechał” i „Chrapanie z rozkazu”, oraz część koncertowa.

Atrakcją wieczoru będzie śpiew p. Pietraszewskiej, b. artystki Opery warszawskiej, obecnie angażowanej na sezon zimowy do La Scali mediolańskiej.

Przedstawienie obudziło zainteresowanie publiczności miejscowej i letników okolicznych.

Solistka mediolańskiej La Scali? To już sztuka na najwyższym poziomie. Jabłonowski teatr powoli podnosił poziom równając do najlepszych teatrów Europy. Zmiany w teatrze były większe. Czytając repertuar brak informacji o udziale w przedsięwzięciu doktora Bzury, ponadto wykonawcy goszczący na scenie nie byli już amatorami.

Kurjer Warszawski. Dnia 5 września 1907 r.

Jabłonna, 30-go sierpnia.

Za przykładem innych, większych letnisk, i Jabłonna zbudowała sobie teatrzyk, a raczej kasyno, w którym, prócz widowisk dramatycznych, dawane mogą być koncerty, odczyty, odbywać się zabawy i zgromadzenia publiczne. Nadto pragnieniem założycieli jest, aby lud tutejszy, na podobieństwo ludu galicyjskiego, skłonić i wciągnąć do tego rodzaju rozrywek kulturalnych i umoralniających. W Galicji wieśniacy sami biorą udział w przedstawieniach teatralnych, sami grają sztuki odpowiednie, misteria i t.p.

[...] Owóz na obszernym placu obramowanym sztachetami, stanął zgrabny budynek drewniany, zdala od domostw, z widownią na 200 osób, wygodną scenką, garderobami, nawet miejscem dla orkiestry.

Odbyły się dotychczas dwa przedstawienia. Inauguracyjne dane było 11-go b.m. i składało się z czterech jednoaktówek oryginalnych, odegranych składnie przez miłośników miejscowych. Głównie odznaczały się grą inteligentną i ożywioną: doktorowa Bzurowa i pani Kuszkowska, gorliwe inicjatorki całego dzieła, oraz p. Ryszard Herget, którego gra sceniczna wykracza już w dziedzinę artyzmu.

Takiego cieniowania dykcji, zrozumienia i opanowania roli, naturalności i swobody ruchów, jakie wykazał w obu granych przez siebie komedjach: „Bzik mojej żony” A. Marka – gdzie pełna wdzięku i naiwnego sentymentalizmu Marja (pani Kuszkowska) dzielnie mu wtórowała – oraz w „Pożegnaniu” Przybylskiego, rzadko zdarza się spotkać u bardzo wytrawnych nawet miłośników.

P. Herget jest podobno uczniem Żelazowskiego i wzoruje się na Kamińskim.

Jedno i drugie dobrą jest zapowiedzią przyszłej kariery młodego adepta sztuki, o ile wiadomo, p. H. ma zamiar poświęcić się scenie.

Panna M. Ostaszewska posiada, prócz miłej powierzchowności, wyrobioną już do pewnego stopnia rutynę i ze swojego zadania wywiązała się nader udatnie.

Reszta wykonawców pełna był dobrych chęci i szczerego zapału. Reżyserja nie żałowała trudu, aby godnie opowiedzieć zaufaniu. W międzyaktach przygrywała orkiestra, złożona z pięciu bladolicych synów Izraela, tnąc od ucha siarczyste mazury i obertasy.

Teatr był przepełniony, a huczne oklaski i kwiaty były odpowiedzią publiczności za mile spędzony wieczór.

Następne przedstawienia odbywać się będą co dwa tygodnie.

Jabłonnie przybyła tedy rozrywka godziwa i szlachetna. Posiadła i ona swoje „circenses... Evviva l'arte!” [...]

Powyższe artykuły są szczególnie interesujące, gdyż informują, że w Jabłonnie postawiono specjalny budynek na potrzeby teatru. Posiadał on scenę, miejsce dla orkiestry, garderoby i krzesła dla

200 osób publiczności. Ponadto cały teatr był ogrodzony. Niestety, nie ma żadnych wskazówek, które by lokalizowały teatr (z dala od domostw), ale zapewne powstał blisko bocznej bramy do parku. Tej lokalizacji domyśleć się można po dalszej części powyższej informacji prasowej (**Kurjer Warszawski, Dnia 5 września 1907 r.**).

[...] Słynna siedziba Poniatowskich, tak niegdyś odwiedzana licznie, nie straciła nic ze swojego uroku. Wspaniały park z przepysznym starodrzewiem oraz stylową bramą tryumfalną ks. Józefa, jeden z najpiękniejszych w Królestwie, utrzymany jest wzorowo, zachwyca malowniczością i poi wspomnieniami. To też z jakimże bólem, niestety, przybyli z miasta spacerowicze dowiadują się od strzegących bram jego cerberów, że: „Lasciate ogni speranza”, bo nie wejdziecie dalej!

Historyczny park, z rozkazu właścicielki, zamknięto na siedem pieczęci! I to nie tylko dla przygodnych gości, ale i dla zamieszkałych tu letników.

Powód do tego ostracyzmu dała podobno sama publiczność, posiadająca – jak zresztą wiadomo powszechnie – nader słabo rozwinięte pojęcie o poszanowaniu cudzej własności, więc niełamaniu drzew, nieniszczeniu trawników i.t.p.

(Zofia Mellerowa)

Problem cały polega na fakcie, że przez kilkanaście lat istniały dwie Jabłonny – główna z pałacem i parkiem, ale 3 kilometry obok, przy linii Kolei Nadwiślańskiej, powstały koszary wojskowe, huta szkła, osada i letniska w lesie, wszystko

określano także nazwą Jabłonna. Czasami ta nowa osada nazywana była Jabłonna Nowa lub Jabłonna Gucin (od Augusta Potockiego). Te kombinacje z nazwami miejscowości powodują, że trudno ustalić, czy nowy budynek teatru (kasyna) powstał w Jabłonnie, czy Jabłonnie Nowej.

W Jabłonnie Nowej powstało kasyno na placu wydzielonym przez Potockiego, blisko stacji kolejowej i huty szkła.

***Kurjer Warszawski. Dnia 8 maja 1901. Nr 126.
Szasy prawego brzegu Wisły. Wyjazd za rogatkę
peterburska.***

[...] W jabłonnie nawprost pałacu przyzwoita i dość tania oberża. Tu drogi się rozdzielają, wprost przez ładny las idzie droga do Nowego Dworu wiorst 14 1/2 (około 15 km), na prawo zaś do stacji Jabłonna wiorst 2 1/2 (około 3 km), gdzie znajduje się przyzwoita restauracja w t.zw. halli, a zarazem sala do odbywania letnich zabaw i liczniejszych wycieczek.

Być może pierwszy teatr korzystał gościnnie także z tej sali. Drugi teatr, zbudowany w roku 1907, sądząc z informacji z gazet, był inicjatywą mieszczańską i był w okolicy pałacowego parku, zanieczyszczanego przez widzów teatru. Nazwa „kasyno” mogła zostać użyta, gdyż budynek był wielofunkcyjny, dostosowany do różnych potrzeb wsi. Ważną wskazówką niech będzie informacja z prasy, że po przedstawieniu w 1907 roku widzom zapewniono wygodny transport do Warszawy specjalnym pociągiem wąskotorowej kolejki Jabłonna-Wawer. Gdyby teatr

był w Jabłonnie Nowej, widzowie korzystali by zapewne z pociągów szerokotorowej Kolei Nadwiślańskiej.

Skromną kolekcję zamyka plakat z roku 1908, także prosty i bardzo skromny. Na marginesie organizatorzy dopisali ołówkiem – „bilety w aptece”. W poprzednich latach bilety rozprowadzały panie związane z teatrem i przedstawieniem. Brak dalszych informacji w gazetach o przedstawieniach, mogą mieć różne powody – redakcja „Kuriera” zrobiła specjalną rubrykę poświęconą repertuarowi warszawskich teatrów zawodowych. Jabłonowskie przedstawienia być może nie interesowały już tak bardzo prasy. Oddany do użytku w 1907 roku, w nowym budynku, teatru działał jeszcze kilka lat, ale późniejsza prasa o teatrze w Jabłonnie wspomina tylko sporadycznie w latach 1910, 1911 i w 1914.

Kurjer Warszawski. Dnia 1 września 1910 r.

Przedstawienie włościańskie.

W niedzielę nadchodzącą, o godz. 5 1/2 po południu odbędzie się w Jabłonnie amatorskie przedstawienie miejscowej trupy włościańskiej, zorganizowanej z młodzieży wiejskiej przed pół rokiem, a składające się ze sztuk ludowych ze śpiewkami i tańcami. Odegrane będą następujące sztuczki. „Janek z pod Ojcowa”, „Przed ożenkiem” Gutowskiego i „Wigilja św. Andrzeja” Dominika.

Dochód z przedstawienia obrócony ma być na wpisy dla niezamożnych uczniów szkoły miejscowej.

Kolejna rewelacja z Jabłonny. Tym razem gościnną salę teatru opanowała działwa szkolna z rodzin włościańskich. To już kolejny skład jabłonowskiego teatru i kolejny cel dobroczynny uzyskanego przychodu.

Kurjer Warszawski. Dnia 21 sierpnia 1911 r.

Wczoraj w Jabłonnie w miejscowym kasyno odbył się koncert z bardzo urozmaiconym programem. Brali w nim udział pp. Tomaszewska-Malanowska i Szepietowski (śpiew), Herget (monologi), Mojkowski (deklamacja). Oprócz tego zgrany zespół polskiego towarzystwa dramatycznego (pp.: Godlewska, Paprocka, Mojkowska i Trepka) odegrali „Pierwszą chmurę” Stockiego i „Bilecik miłosny” Bałuckiego. Tłumnie zebrana publiczność nie szczędziła oznak szczerzego zadowolenia wszystkim wykonawcom, których gorąco oklaskiwano.

Lata lecą, a teatr w Jabłonnie trwa. Dawny amator, Ryszard Herget występuje na scenie, ale już jako zawodowy aktor. Dla nas, wiek później, bez znaczenia jest czy to był teatr amatorski czy zawodowy, mieszczański czy włościański... Doktor Bzura puścił machinę z ruch i pasja oraz miłość do teatru napędzała jabłonowską historię o kolejnych reżyserów, aktorów, sztuki.

Kurjer Warszawski. Dnia 13 czerwca 1914 r.

Jutro na scenie teatru w Jabłonnie, wystąpią członkowie polskiego Towarzystwa dramatycznego w 3-aktowej krotce Kadelburga „Ciemna plama”. W przedstawieniu pod reżyserią p. K. Hoffmana, biorą udział pp. H. Hoffmanowa, J. Paprocka, St. Mierczyńska, W. Górska, H. Mojkowski, L. Idźkowski, B. Mierczyński, K. Poraj, W. Trepka i M. Lebisz. Początek przedstawienia o 5 1/2 po poł., aby dać możliwość wykonawcom i uczestnikom wycieczki Tow. „Orpheon” powrotu do Warszawy na noc.

Dziś, po prawie 120 latach, wiemy, że propagowanie kultury, nawet tak wyrafinowanej jak teatr, było realizowane w małej Jabłonnie, gdzie także mieszkali uzdolnieni aktorzy, reżyserzy, animatorzy, i że wbrew carskiej polityce dbano o polski język i kulturę. W działalności społecznej i patriotyzmie wyróżniali się państwo Bzurowie, o których historia zapomniała, ale może chociaż tych kilka zdań przypomni nam rolę lokalnych patriotów i działaczy społecznych, w tworzeniu i rozwijaniu swoich „małych ojczyzn”. Wielkie znaczenie ich pracy teatralnej podsumowuje, już po opuszczeniu centralnej Polski przez Rosjan, fragment artykułu z tygodnika Echo Pragi, 12 lutego 1916 r.

W teatrze jedynie wolno nam było patrzeć na polskie narodowe ubiory. Widzieliśmy w utworach scenicznych drogie nam postacie dawnych lat, dawnych obyczajów i czasów i wstawiała przed oczyma naszymi świetlana przyszłość narodu i twardą ponurą rzeczywistość opromieniała nadzieją lepszej przyszłości. Widzieliśmy w teatrze kontusze, konfederatki i karabele w tym czasie, kiedy ścigano ludzi, którzy na balach kostjumowych występowali w strojach narodowych. Prawda, że ówczesna cenzura rosyjska detronizowała Jana Kazimierza, że Słowacki, długo nie mógł figurować jawnie na afiszu teatralnym – ale mimo to wszystko teatr był tem publicznym miejscem, gdzie wolno było głośno mówić po polsku, gdzie tłumione uczucia serdecznego umiłowania ojczyzny mogły znaleźć swój wyraz i swój dźwięk, dodając nam hartu ducha i sił do przetrwania i dotrwania. I dlatego przez szereg lat otaczaliśmy scenę polską w Królestwie nie tylko szczerą życzliwością, ale uważaliśmy ją poniekąd jako nasze wspólne ognisko, przy którym serca nasze żywiej bić mogły, a myśl szybować w krainę na jawie życia niedościgłą – lepszej dla nas i dla wszystkich doli.

Nie ma pewności, gdzie stały budynki teatrów, nie ma po nich żadnego śladu, nie ma fotografii, czy dokumentów z tych wydarzeń, ale niejako na uboczu wszelkich działań stoją do dziś drzewa sadzone z inicjatywy doktora Stanisława Bzury. Zachowały się dwie aleje ozdobione posadzonymi około roku 1900 lipami, dziś 120 letnimi drzewami, które mają po 240-340 cm w obwodzie każda. Lip jest około 40 i rosną po obu stronach ulic Ks. Józefa Abramowicza i Instytutckiej. Drzewa, mimo słusznego wieku, są w większości w bardzo dobrej kondycji, bez

groźnych uszkodzeń i widocznych chorób, więc być może warto pomyśleć, by nadać im status pomników przyrody, by upamiętniały lokalnego działacza społecznego Jabłonny, doktora Stanisława Bzurę. To ukłon w stronę Rady Gminy Jabłonna, której uchwała może zapewnić tym drzewom i doktorowi Bzurze pamięć.

Analizując stare mapy Jabłonny trudno zlokalizować teatralne budynki. Mapy są mało dokładne i bardzo często w kolejnych edycjach zmieniano tylko daty wydrukowania, nie wprowadzając do treści istotnych zmian. Oznaczona na mapach jest stara kaplica, narysowano tajemnicze budynki w narożniku ulic Modlińskiej i Szkolnej, ale czy były to siedziby jabłonowskiego teatru? Niestety, póki co nikt na to pytanie nie potrafi udzielić odpowiedzi.

Za pomoc w zbieraniu informacji dziękuję panom Jarosławowi Marczakowi, Marcinowi Medyńskiemu i Markowi Bijakowi.



Pałac w Jabłonnie

Autorka artykułu oraz książki p.t. „Jabłonna Augusta”, dr Katarzyna Kuligowska zwróciła się do redakcji Culture Avenue, po przeczytaniu opublikowanego na łamach magazynu wywiadu Edwarda Zymana z aktorką z Toronto Ireną Habrowską-Jellaczyc „Teatr był całym moim życiem”:

<http://www.cultureave.com/teatr-byl-calym-moim-zyciem/>

Katarzynę Kuligowską zaintrygowała postać aktora występującego w Kanadzie – Ryszarda Hergeta.

Jestem historykiem – napisała autorka. – Ostatnio zabrałam się za nieznana, zapomniana już historię z mojej okolicy (Jabłonna k/Warszawy). Historia ta, to teatr amatorski w Jabłonce, który działał w pierwszych latach XX. wieku. Jednym z aktorów był młody RYSZARD HERGET. On i jego bracia występowali w tym amatorskim teatrze. W gazecie z 1907 roku o Ryszardzie Hergecie piszą, że w Warszawie kształci się na zawodowego aktora, ale w teatrze w Jabłonce działa dalej, ale już głównie jako reżyser.

Bardzo mnie interesuje, czy opisywany w tekście „Teatr był całym moim życiem” Ryszard Herget, może być tym samym człowiekiem, który swoje teatralne szlify zaczynał w amatorskim teatrze w Jabłonce. Uzupełnię, że ojciec Ryszarda był zarządcą majątku hrabiego Augusta Potockiego. Ryszard mógł urodzić się około 1885 roku...

Być może Ryszard Herget z Kanady i Ryszard Herget występujący w teatrze amatorskim w Jabłonce, to ta sama osoba, ale ostatecznie informacja ta nie została potwierdzona.